

Na okładce
Autor w historycznej sukmanie dziadka
Zdjęcie Robert Wójcik

ISBN 978-83-89464-96-5

**TADEUSZ
SIENKO**

Kartki wyrywane z życia



KARTKI WYRWANE Z ŻYCIORYSU

Wspomnienia animatora kultury



Tadeusz Sieńko

KARTKI
WYRWANE
Z ŻYCIORYSU

Wspomnienia animatora kultury



Lublin 2008

Wydano staraniem
Wojewódzkiego Ośrodka Kultury
w Lublinie

Redakcja
Anna Kistelska
przy współpracy
Katarzyny Rzepey

ISBN 978-83-89464-96-5

Kupno części nakładu deklarują
Poseł na Sejm RP
Jan Łopata
Starostwo Powiatowe w Lublinie
Burmistrz i Rada Miasta Bełżyce

Projekt
Wiesław Kaczkowski

Łamanie komputerowe
Andrzej Nowak

Druk
Wojewódzki Ośrodek Kultury w Lublinie
www.wok.lublin.pl



Do rąk Państwa trafiają *Kartki wyrwane z życiorysu* dziecka wiejskiego osieroconego w niemowlęctwie, rozpoczynającego edukację w czterooddziałowej – jednoizbowej szkole, chłopca wykazującego „od małego” zdolności do nauki i talent recytatorski. Z życiorysu małego Polaka dorastającego w latach okupacji hitlerowskiej – już wówczas w dzieciństwie – wdrażanego do roli konspiratora, która będzie kontynuowana w zmieniającym się ustroju, w nowym totalitaryzmie. Zmysł spiskowania posiadał w patriotycznej rodzinie wychowujących Go krewnych, zaś „Kto ty jesteś...” było istotnie Jego katechizmem.

Jego pasja do działalności społecznej, noszącej z wpływem czasu znamiona polityczne, zrodziła się poprzez TEATR, którego był w chłopięcych latach aktorem, w latach młodzieńczych organizatorem, prowadząc równoległe z kreacjami aktorskimi działania reżyserskie. W miarę dojrzewania biologicznego dojrzewał do ról, jakie według Jego przekonania dane Mu jest pełnić: społecznika podejmującego zadania obrony polskości, tradycji, wiary. W zmieniających się uwarunkowaniach politycznych – żył jednak w czasach hitleryzmu, stalinizmu, PRL, przeżywał okres „Solidarności”, doczekał szczęśliwie wolności III Rzeczypospolitej – jest temu posłannictwu wierny.

W latach młodości gromadził wokół siebie rówieśników, zapalał do pracy artystycznej i społecznej. W wieku dojrzałym skupił się na pracy z młodzieżą i dziećmi. Dla

wielu towarzyszy pracy teatralnej jest autorytetem, kolegą i przyjacielem, dla dzieci wychowawcą i „wujkiem”.

Wspomnieć także należy – bo skromnie ten fakt na swoich *Kartkach* pomija – że zaszczepił miłość do poezji, teatru, muzyki swoim własnym dzieciom i wnukom. Jest też rolnikiem z krwi i kości, prowadzi własne gospodarstwo w Zosinie. Jego pasja, talenty, wytrwałość, a niekiedy nawet tzw. chłopski spryt, stworzyły w śródowisku – w gminie i parafii Matczyn – miłośnictwo teatru promieniujące na dalszą okolicę, zapisując znaczącą kartę w dziejach teatru amatorskiego.

Działalność na szerszej niwie – w Towarzystwie Kultury Teatralnej – wieloletnia praca w zarządzie Oddziału Wojewódzkiego, a obecnie w komisji rewizyjnej OW TKT, sytuuje Tadeusza na pozycji nestora amatorskiego ruchu teatralnego Lubelszczyzny.

55 lat Jego pracy dla teatru, życzliwość, którą obdarza otoczenie, przy tym skromność i pogoda ducha – zyskały Mu wielu przyjaciół, do których i niżej podpisana ma zaszczyt się zaliczać.

Krystyna Chruszczewska

Kochanym – Mamie i Tacie

*W stanie agonii przycisnęłaś moje ciało
Do swoich piersi, Mamo!
A łzy jak kropla letniej rosy
Spłynęły z Twoich oczu –
Obmyły moje delikatne ciało.
Serce biło mocniej, lecz wolniej,
Aż wreszcie bić ustało.
Obok matczynych piersi –
Obsunęło się maleńkie ciało.
Nie rzuciłaś mnie do kosza śmieci,
W szpitalnym piecu nie spaliła.
Wzięły mnie przyjazne ręce –
Miłość ludzka zwyciężyła.
Ta miłość heroiczna Tato i Mamo
Dziś mi życie słodzi!
Wierzę, że za Waszą wielką miłość
Bóg Wam wynagrodzi.
Dziękuję Wam kochani – Tato i Mamo
Za łzy nade mną wylane.
Winien Wam jestem wiele
Za życie, które zostało mi dane.
Własną śmiercią okupione...
Dziękuję tym, co mnie przygarnęli –
Za miłość, ciepło i wychowanie...
Cóż mogę Wam powiedzieć?
Babciu i Ciocie!
Za wszystko dobro, daj im nagrodę Panie!
Chciałem żyć jak człowiek?
Ale człowiek czasami błądzi...
Za wszystko – co złe i dobre –
Niech Pan Bóg mnie osądzi.*

Boże!

Dziękuję Ci za łaski, które otrzymałem dotychczas w moim życiu, i w mojej 55. letniej działalności kulturalnej, wśród młodzieży, dorosłych i dzieci.

Cierpienia i niepowodzenia przyjmuję jako upomnienia, jakie należą się każdemu z nas. Nie jestem doskonały, lecz starałem się na swój sposób być „Człowiekiem”. Szanować Boga, Rodzinę, Ojczyznę, ludzi i być potrzebny w społeczeństwie, żyć nie tylko dla siebie.

Urodziłem się w Babinie, w rodzinie rolniczej. Ojciec posiadał niewielkie gospodarstwo. Ojciec – Stanisław Sieńko, mama – Stanisława z Majów, posiadali kilkoro dzieci. Mama zachorowała, gdy byłem niemowlęciem i po trzech miesiącach zmarła. Ojciec nie mógł poradzić sobie z gromadką dzieci. Dlatego moja babcia Majowa, żona Józefa, mieszkająca w Zosinie odległym od Babina 2 km, postanowiła zaopiekować się mną wraz z dziadkiem i czterema córkami panienkami, które pozostawały w domu. W gospodarstwie tym nie działo się najlepiej. Dziadek, po spaleniu w 1914 roku gospodarstwa i wywózce na Sybir, mając jedenaścioro dzieci zadłużył się i ciężko mu było wydestakować się z tego „marazmu”. W 1932 r. dziadek zmarł. Ciotki z babcią zostały same z nowym „nabytkiem”. Kiedy babcia przywiozła mnie do domu, z relacji ciotek wiem, że okoliczne kobiety zbierały się, aby zobaczyć przywiezione dziecko, leżące w grubej, drewnianej kołysce. Sama głowina, suche jak patyczki nogi i ręce, a do tego owrzodzenia na całym ciele. Doszły do wniosku, że najlepiej będzie jak „Majowo” weźmie to dziecko za nogi i „strzeli” o drzewo, bo i tak z niego nic nie będzie, a skróci mu się cierpienie. Babka wypędziła kobiety, potem zapłakała razem z ciotkami. Wkrótce zaczęła chodzić do lasu, zrywała czubki gałęzi sosny, gotowała, prażyła i w tym wywarze kąpała mnie codziennie. Powoli zdrowiałem, rosłem, a ludzie przyglądali się z niedowierzaniem, co z tego będzie. Moje pięć „matek” było dumnych, że uratowały dziecko, mimo że siostra zmarła. Wyrastałem i stałem się również pupilkiem sąsiadów Niezbeckich, dalszych kuzynów.

Sąsiedzkie chłopaki i dziadek – tak nazywałem najstarszego sąsiada – wozili mnie, gdzie się dało. Podpuszczali na Żydów,

którzy kupowali sad. Ja byłem dumny z tego co robiłem, a oni śmiali się do łez, również, kiedy wracałem do domu z podartymi przez psa porcięciami. Szczęście, że ciotka była krawcową. Reperowała spodnie i trzepała tyłek.

Tak dorastałem do czasu pójścia do szkoły. Opiekunki moje solidarnie podzieliły między sobą obowiązki wychowania. I tak: babcia, jako najstarsza, pilnowała mnie, kiedy ciotek nie było w domu. Najstarsza Katarzyna (krawcowa) zajęła się moim wychowaniem, abym był jak najlepszym dzieckiem, a potem człowiekiem. Od czasu do czasu pochwalała, ale często przetrzepała skórę. Zofia najczęściej uczyła mnie czytać i pisać, choć Małgorzata także nie stroniła od tego. Małgorzata, kiedy dorastałem, uczyła mnie „roboty”, ponieważ w jej rękach spoczywał obowiązek utrzymania gospodarstwa w polu i zagrodzie, troska o konie i sprzęt. Zofia dbała o krowy, Marianna o trzodę chlewną. Marianna również nie nadążała za mną, zawsze mnie szukała. Często chodziliśmy do znajomych, chorych, dalszych kuzynów. Czas leciał, ani się spostrzegłem, jak trzeba było iść do szkoły.

Ojciec, Stanisław Sieńko, zmarł w 1943 roku. Matka, Stanisława z Majów, zmarła w 1931 roku.

Nie sposób pominąć pozostałych członków mojej rodziny. Brat przyrodni – Jan, z pierwszego małżeństwa ojca, żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza, był internowany na Węgrzech, wrócił po wyzwoleniu. Józef, również brat przyrodni, wzięty do Niemiec na roboty, także powrócił po wyzwoleniu. Siostra Helena zmarła przed wojną, Maria zmarła w 1943 roku. Pozostali Apolonia i Julian, na których spoczywała pomoc w domu. W domu pomagała jeszcze starsza siostra ojca. Po powrocie, bracia przyrodni zajęli się gospodarką, siostra poszła do zakonu, Julian na służbę. Dzięki dobremu wujkowi ukończył kursy księgowości, ożenił się, pracował w Gminnej Spółdzielni.

Natomiast wspominając rodzinę mojej matki, piszę o żyjących, ponieważ później jest to związane z moim życiem i działalnością. Obok mieszkał wujek Władysław, w Trawnikach Bi-

skupicach uczył wujek i wujenka. Jan Maj, uczestniczył jako ochotnik z liceum w wojnie bolszewickiej w 1920 r. Dziadek Józef, „sybirak”, został wywieziony w 1914 r. Jego syn Bartłomiej mieszkał w odległości 3 km w Podolu, w czasie wojny więzień Wronek, był członkiem i dowódcą placówki AK. Ciotka Helena Litwińska mieszkająca w Lublinie, za okupacji częściej przebywała na wsi. Gospodarstwo mojej ciotki, Antoniny Paździor, znajdowało się około 1 km od naszego domu. Mąż został zabrany przez Niemców i zginął w obozie, prawdopodobnie na Majdanku. Była to zemsta za lądowanie alianckiego samolotu o kryptonimie „Most”. Zginęli również inni, w tym dwaj bracia męża ciotki Antoniny, w sumie pięć osób. Gospodarstwo pod lasem było ostoją partyzantów, a w szczególności syna Bartłomieja, który był w „lotnej” – tak nazywała się komórka partyzancka AK.

Do szkoły w Matczynie zaprowadziła mnie ciotka Katarzyna. Szkoła mała, z jedną klasą, korytarzem i dwoma pomieszczeniami dla nauczycielki. W pobliżu płynęła rzeka, równolegle biegła droga przez wieś Matczyn. Obok mieściło się boisko w kształcie trójkąta o powierzchni około 100 m². Tu zaczynałem swoją edukację. Rozpoczęła się wojna. Bomby sypały się na nasz kraj, miasta i wioski niosąc śmierć i strach. Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Niedługo, przy starym drewnianym kościółku, zobaczyliśmy wojsko. Jakies inne, w niemieckich mundurach, a wśród tego wojska co chwilę zjawiał się osobnik w czarnym mundurze, z opaską na ręce i połamanym krzyżem. Tłumaczyliśmy sobie na rozmaite dziecięce sposoby, co to może być za wojsko. U rodziny widziałem jakieś przygnębienie, niepokój. W domu, w sposób bardzo delikatny zacząłem dowiadywać się, że to wróg. Niemiec napadł na nasz kraj, na naszą kochaną Ojczyznę. Cioście częściej niż dawniej pytały mnie „Kto Ty jesteś”, odpowiadałem „Polak Mały...”. Również, częściej przyjeżdżał wujek Janek oraz wujek Bartłomiej, którzy coś radzili, zjawiały się inne osoby. Wychowywałem się w rodzinie patriotycznej, głęboko wierzącej. Cała rodzina ze strony ojca jak również matki

to członkowie powstającego podziemia, aż do AK. Sam stałem się kurierem „grypsów”, a pod koniec okupacji zajmowałem się ostrzeganiem partyzantów, którzy ukrywali się w naszej rodzinie czy na wsi. Jeździłem również po broń ze zrzutów w okolice Wisły, uczestniczyłem w kradzieży koni Niemcowi, administratorowi z cukrowni w Opolu Lubelskim. Przewoziłem broń ze zrzutów z domu do innych miejscowości, jeżeli tak było trzeba.

Nie będzie tu dat, ani lat, ani nazwisk, wspominam jedynie tych co wyrazili zgodę i są tego warci. Dlatego proszę wybaczyć proste słowa, chaotyczny opis, jednak tylko tak umiem opisać swój udział w działalności kulturalnej. Należy zacząć od początku i wrócić do czasów okupacji niemieckiej. Młodzież po kryjomu zbierała się w domu, pod kierunkiem ciotek, Małgorzaty i Zofii. Tu odbywały się najpierw zebrania, a potem wystawiano sztuki teatralne. W jednej ciasnej izbie mieściło się trzydzieści a nawet więcej osób z trzech wsi: Zosina, Matczyna i Wojcieszyzna. Próby odbywały się po południu, nie przeciągaliśmy ich do nocy z wiadomych przyczyn, choć i w dzień taką ilość osób wróg uznałby za zgromadzenie nielegalne i groziło nam wywiezienie do obozów.

Jednak młodzież robiła swoje. Sztuki wysławiane były na wiosnę na przednówku, kiedy pomieszczenia gospodarcze były puste. Gdy grano sztukę, na drodze czuwał ktoś starszy, my natomiast jeździliśmy po drodze „fajerkami”, stale wypatrując, czy nie pojawi się samochód z nieproszonymi gośćmi. Często po prostu niepewnymi, na których nie mogliśmy polegać, tacy też byli wśród swoich.

Pieniądze, które młodzież zarobiła dzięki przedstawieniom, przeznaczone były na wykończenie kościoła. Mimo, iż okupant dokuczał, ludzie nie żalowali pieniędzy na taki cel. Ta działalność łączyła się z dyskusją o sytuacji w Polsce. Rodziła się konspiracja. W tym duchu wychowywałem się, słuchając i patrząc. W niedługim czasie zacząłem barć udział w przedstawieniach. Zawsze o tym myślałem, a kiedy dostałem pierwszą rolę w „Macosze”,

omal nie oszalałem z radości. Potem były inne i tak się zaczęła moja znajomość z teatrem. W szkole również zauważono moje interpretacje tekstów szkolnych, wierszy, dlatego brałem udział w uroczystościach szkolnych, takich jak zakończenie roku, bo o innych nie było mowy. Moja wieś była jak inne, około dwudziestu pięciu gospodarstw (teraz już więcej) gościniec przez wieś, nieduże łąki, rzeczka, za rzeczką olszynowy lasek i pole sąsiada. Za drogą, trzysta metrów od domu biegła szosa Bełżyce-Lublin, dalej cmentarz parafialny. Do szkoły w Matczynie miałem niedaleko, około 1 km drogi. Bliżej kościół, po drugiej stronie majątek dziedzica Jana Ligowskiego. Nad rzeką, w budynku po starej plebanii mieściła się szkoła. Nauczycielka, dość okazała kobieta, starała się utrzymać porządek. Idąc do pierwszej klasy umiałem biegle czytać i pisać. Nauczycielka była zadowolona, że ma się kim posłużyć w czytaniu, a ja byłem dumny, że jestem uwielbiany, dopóki nie zrozumiałem, że jest to obciążenie dla mojej osoby, a i uczniowie śmiali się i wytykali mi to przy każdej okazji. Wtedy na swój sposób zacząłem lawirować, jąkać się, a udawanie przychodziło mi z wielką łatwością. Skończyło się to dla mnie niepomyślnie, ponieważ nauczycielka zaprzyjaźniła się z ciotkami przychodząc po chleb i inne artykuły, które było trudno dostać i przekazywała na bieżąco, co działo się w szkole.

W majątku zjawił się niemiecki administrator. Tęgie chłopisko, typowy Niemiec, choć chwalił się, że „trochę” jest Polakiem. Nosił zielony kapelusz piórkiem, spodnie po kolana, zielony surdut, żółte półbuty i getry. Nieodłącznie mu towarzyszył wielki pies w czarne łaty.

Widocznie podobała mu się nasza pani. Często przychodził nawet na lekcje. Byłem zdolniejszy, ale pani wybierała innych uczniów, przeważnie z folwarku, oni byli zaniedbani i niedopilnowani przez rodziców z wiadomych przyczyn. Trzeba tu przyznać, że były wśród tych dzieci zdolne, ale warunki w jakich żyły pozostawiały dużo do życzenia. Niemcom zależało, aby polskie dzieci umiały jak najmniej. Z czasem przyzwyczailiśmy się do obecności na lekcjach nieproszonego gościa i robiliśmy swoje uczniowskie psikusy, strzelaliśmy z papierków i z gumek do psa, który zawsze spoczywał pod stołem. Pani przyzwyczała się do obecności amanta. Miała co tylko chciała, tak że mogła utrzymać

rodziców i syna, który był w naszym wieku. Mniej przychodziła do naszego domu, z czego byłem bardzo zadowolony. Pewnego razu ktoś z kolegów strzelił większym papierem w psa, ten zaskowyczał i zaczął szczekać. Pani krzyknęła, aby nas uspokoić, wówczas Niemiec zerwał się z krzesła, podbiegł do ławek i mocnym uderzeniem swoim „choropem” – biczem uplecionym ze skóry poskromił siedzących w pierwszej ławce. Siedziało w niej czterech chłopców, najgorzej pokrzywdzony był kolega siedzący na końcu ławki. Koniec bicza przeciął mu bluzę i skórę na plecach. To nas przestraszyło a jednocześnie oburzyło. W domu poskarżyłem się ciotkom, te przekazały bratu, który, jak już wspomniałem, był dowódcą placówki. Pani natychmiast otrzymała ostrzeżenie, aby do takich sytuacji nie dochodziło.

Do nauki była tylko gazeta „Ster”, inne książki nosiliśmy do szkoły ukradkiem. Polskiego uczyłem się, kiedy pasłem krowy. Pewnego razu krowy weszły w zboże dziedzica, wówczas doświadczyłem jeszcze raz boleśnie bicza Niemca, który akurat nadjeżdżał drogą oglądając pola. Na szczęście nie zajął krów do folwarku, jak to czynił innym, którzy musieli osobiście przyjąć po bydło. Gospodarz dostawał biczem przy akompaniamencie przekleństw, musiał Niemca przeprosić i dopiero mógł zabrać krowy.

Pani nauczycielka odkryła we mnie dobrego recytatora i zawsze uczestniczyłem w przedstawieniach na koniec roku. Po czterech klasach szkoły w Matczynie, zacząłem uczęszczać do szkoły w Bełżycach. Poszedłem do klasy szóstej wraz z koleżankami i kolegami. Tu było mi lżej, ponieważ kilka osób z klasy czytało bardzo dobrze. Ciotki trzymały rękę na pulsie, tak że nie mogłem sobie na większe „luzy” pozwalać, choć i tak psot nie brakowało. Kierownik szkoły był członkiem AK, dlatego do moich zadań należało jeszcze przenoszenie grypsów w jedną i w drugą stronę. Nauczyciele również należeli do konspiracji. Po wyzwoleniu przygotowywali przedstawienia i akademie, które były obowiązkowe, 1 maja, 22 lipca i z okazji rocznicy rewolucji październikowej. Mimo, że były narzucone przez sowietów

i władzę ludową, wyczuwało się w nich wątki patriotyczne. Dobierano wykonawców spośród uczniów rozumiejących, czym jest druga niewola, niewola sowiecka. We wszystkich poczynaniach nauczycieli byłem obecny. Ciotki prowadziły jeszcze jakiś czas teatr, dlatego byłem angażowany, jeśli odpowiednia rola się trafiła. Gromadziły wokół siebie młodzież, przedstawienia grane były w zrujnowanym dworku i stodołach.

Pod niewolą sowiecką i władzą ludową, ciotki z wielką ostrożnością podchodziły do każdej zaplanowanej imprezy. Władza ludowa cenzurowała wszystkie przedstawienia i inne imprezy. Tym bardziej, że dziadek był na Syberii za politykę, syn jego a mój wujek Jan Maj był ochotnikiem wojny bolszewickiej w roku 1920, a cała rodzina należała do konspiracji w AK. Dlatego też do pomocy w organizowaniu imprez poproszono panią Marię Nagnajewicz z Matczyna, nauczycielkę pochodzącą z Kresów. Zebrane pieniądze nadal przekazywano na kościół. Dziedzic uciekł do Warszawy, majątek rozparcelowano, dworek rozkradziono. Po małym remoncie jednej z sal przenieśliśmy się do dworku. Dalej w spotkaniach uczestniczyła młodzież z Zosina, Matczyna i Wojcieszyna. Brałem już częściej udział w przedstawieniach. Ostatnim przedstawieniem była „Chata za Wsią”. Grałem w nim głupiego Janka. Pani Nagnajewiczowa uznała, że mam talent i zdolności do przekazywania tekstu. Chciałem iść do szkoły i dalej się uczyć. Pani Nagnajewicz namówiła mnie, abym złożył papiery do szkoły teatralnej. Tak też uczyniłem. Kiedy wszystko było gotowe, musiałem zdać egzamin wstępny w estradzie lubelskiej. Nie miałem z tym większych trudności. Bałem się tylko, co będzie, kiedy powiem ciotkom o moim zamiarze. I stało się. Powstał lament, płacz, że wychowały mnie, abym zabezpieczył im byt na starość. Jako młody chłopiec nie mogłem sobie z tym faktem poradzić. Pojechałem do wujka Jana Maja do Trawnik. Wujek z wielką powagą przemyślał o moim kształceniu. Pomała w tym również ciocia Bronisława, żona wujka. Doszliśmy do wniosku, że doceniając wysiłek wychowania i poświęcenia się dla mnie przez ciotki, powinienem pozostać w domu, zrezygnować z dalszej nauki, ponieważ nikt inny im bytu nie zabezpieczy. Wróciłem zszokowany, chociaż rozumiałem, jak wiele dla mnie zrobiły. Niemały wpływ na moje postanowienie miały war-

tości religijne, duchowe, byłem wychowany w rodzinie głęboko religijnej. Z wielkim smutkiem i goryczą postanowiłem zostać w domu. Wiedziałem, że czeka mnie ciężka praca w podupadłym gospodarstwie, ale pomyślałem, że widocznie Pan Bóg taki los mi przeznaczył i zostałem. Po tygodniu czy dwóch, dziś już nie pamiętam, przyjechał wujek Janek aby mnie podnieść na duchu. Po dłuższej rozmowie oświadczył mi jak dorosłemu, że dobrze się stało, bo tu na miejscu potrzebna będzie praca z młodzieżą, dziećmi a może i starszymi. Zaimponował mi swoimi propozycjami, byłem podbudowany, a i ciotki wróciły do psychicznej równowagi. Zaczynała się ciężka praca w gospodarstwie a jednocześnie praca z młodzieżą.

Chcę jeszcze wrócić do czasów okupacji, ponieważ warto wspomnieć o gospodarzach, u których grane były sztuki. Jednym z nich był Jan Zaborski. Inni się bali, mimo że mieli lepsze warunki do grania sztuk. Po pewnej imprezie doniesiono nam iż jeden z osobników z naszej wsi zaczął donosić Niemcom. Doniesienia nie dochodziły bezpośrednio do wyższej władzy, bo i tam byli ludzie z konspiracji. Miejscowi partyzanci z Podola, Zosina, Wojciechowa odwiedzili donosiciela. Najpierw spuścili mu kijami „manto”, obcięli mu jednego węża, a miał je duże i bez tego węża za karę stał przez całą niedzielę od 7.00 do 19.00 koło lipy przy drodze. Mieszkańcy Zosina, idąc do kościoła, z uśmiechem przyglądali się donosicielowi. Doniesienia się skończyły.

Pragnę opisać najważniejsze imprezy, na których działo się coś ciekawego.

Gramy sztukę „Dziurdziowie”, nic nie wskazywało, że grozi nam niebezpieczeństwo. Ludzi na podwórzu u pana Zaborskiego pełno. W krótkim czasie, choć schodzili się pojedynczo, po dwoje, widowia dopisała. Już mieliśmy zaczynać przedstawienie, przybiegł ktoś ze starszych mężczyzn, że od szosy lubelskiej

jadą samochody. Konsternacja, cisza, co robić? Ktoś wyszedł, by zobaczyć ukradkiem zza krzaków, co dzieje się na drodze. Ktoś na poddaszu zarządził absolutną ciszę, nic innego nie można było nie wymyślić. Przez wieś przejeżdżała kolumna samochodów pełnych żołdaków. Na przodzie motocykle. Pancerne samochody jechały ostatnie. Po przejeździe tej kolumny słychać było jedno głębokie westchnienie ulgi. Chwila odprężenia i zaczęto przedstawienie. Niemcy, by pokazać swoją siłę, zastraszyć zniewolony naród, co pewien czas demonstrowali tę siłę przejeżdżając przez miasteczka i wsie. Skończyło się na strachu. Innym razem, nie pamiętam tytułu sztuki, kiedy schodzili się ludzie, zajechał na ulicę samochód. W środku siedział folksdojcz, szukający jednego z gospodarzy, u którego w gospodarstwie zakładał kolczyki spędzonym krowom. Szybko odnaleziono tego gospodarza, wsiedli do samochodu i odjechali.

Kiedy ciotki zrezygnowały z prowadzenia teatru, wówczas pani Nagnajewiczowa przejęła pałeczkę, a ja zostałem nie tylko aktorem, ale jednocześnie jej asystentem. Bardzo polubiłem to zajęcie. Pragnąłem jednak w przyszłości samemu prowadzić teatr. Już w tym czasie zaczynałem gromadzić wokół siebie młodzież. Wujek, który przebywał u nas często, jako nauczyciel przewodził w konspiracji komórce powołanej do obrony kultury polskiej, języka, historii jak również wartości religijnych, dlatego korzystałem z jego rad. Tłumaczył mi, jak należy bronić tych wartości. Zawsze kontaktowaliśmy się, doradzał i towarzyszył moim poczynaniom. Żona wujka prowadziła za okupacji niemieckiej tajne harcerstwo. A po rzekomym wyzwoleniu, Harcerstwo Rzeczypospolitej Polskiej na przedwojennych zasadach, mimo, że było to niezgodne z dyrektywami władzy ludowej. W domu moim wiedziała o tym, jak już nadmieniłem, tylko ciotka Katarzyna, która była łączniczką i sanitariuszką w AK. Prowadząc teatr z panią Nagnajewicz coraz więcej inicjatyw spadało na mnie. Pieniądze uzyskane z biletów przeznaczaliśmy jak dawniej na kościół i jego wyposażenie, jak sztandary, ornaty, itp. Na zaku-

pionym sztandarze, bez konsultacji z młodzieżą z Wojcieszyna oraz Zosina wyhaftowano napis „Ofiara młodzieży miłośników sceny z Matczyna” zamiast młodzieży z parafii Matczyna. Młodzież z Wojcieszyna i Zosina uniosła się honorem i tak zakończyła się dalsza działalność.

Wówczas podjąłem się sam prowadzenia wszystkich imprez, a teatr był na pierwszym miejscu. Poprzez teatr uczyło się młodzież samodzielnego myślenia. Patriotyzm i wartości moralne, chrześcijańskie były największą wartością w czasach okupacji niemieckiej, jak również w czasie okupacji sowieckiej. Byłem jakby zdalnie sterowany przez wujka, podjęliśmy się bronić najważniejszych wartości, dziedzictwa narodowego. Czasem, po przyjeździe w odwiedziny, wychodziliśmy przed dom lub na spacer i wtedy wysłuchiwałem rad, jak powinienem postępować, żeby nie popaść w konflikt z władzą ludową, co groziło nieprzyjemnymi konsekwencjami. Założyłem Koło ZMW, aby odciągnąć młodzież od ZWM, a później ZMP, do którego chciano włączyć ZMW. To się nie udało. Zorganizowaliśmy świetlicę w budynku dziedzica i tu całą parą rozpocząłem działalność. Ostrożność obowiązywała na każdym kroku. Każda impreza mogła być skontrolowana przez pracowników wydziału kultury przy Powiatowej Radzie, choć to zawsze zależało od tego, kto się tym zajmował. Najgorsi byli donosiciele, ormowcy, którzy za judaszowe grosze, pochwałę mogli bez żadnych skrpułów wsadzić do więzienia. Mądrzejsi pracownicy wydziału kultury byli wówczas bezradni i musieli taką imprezę kontrolować. Wówczas rozmaitymi sposobami załatwiano sprawę. Jeżeli był to mężczyzna i wiedziałem, że trochę zna się na tym, nie żalowałem alkoholu i spity kontroler odjeżdżał do domu. Jeżeli to była kobieta, wówczas wystarczało wino, czekolada, rozmowa z szacunkiem dla urzędnika-kobiety i tak, połączeni wspólną tajemnicą przed ormowcami i nawiedzonymi partyjniakami, rozstawaliśmy się w zgodzie. Było się czego obawiać, nie na wszystko brało się zezwolenie w związku z opłatami. Jeżeli w teatrze wystawiano sztukę budzącą nienawiść władzy ludowej, lub skreśloną przez cenzurę, trzeba było mieć sztukę podstawioną, na którą cenzura wyrażała zgodę. Najczęściej były to sztuki bez okładek, okazywane wymiennie, i takim sposobem łądowało się na „obie nogi”. Przychodziło mi to

lżej, kiedy za namową wujka zostałem radnym. Nabrałem praktyki w tej dziedzinie, kombinowałem jak mogłem, a władza była zadowolona, że miała działacza na niwie kultury sprzyjającego ustrojowi i władzy ludowej. Uśmieliśmy się z wujkiem Jankiem nieraz do łez, ale ostrożność była jedną z głównych zasad. Musieliśmy się chronić przed donosicielami – ormowcami i współpracownikami UB – a byli to ludzie o niskim lub bardzo niskim poziomie intelektualno-moralnym, którzy za grosze robili co mogli, aby przypodobać się władzy. Dzisiaj jeszcze żyją, niektórzy mają się dobrze. Za kradzione i kombinowane pieniądze stanęli na nogi. Przed laty innym robili krzywdę, zdzierali nerwy, ale nie to nie jest tematem, o którym chcę pisać.

Należałem do Straży Pożarnej w Zosinie. Do tej straży należeli ludzie z pobliskiej wsi Jaroszewice. Dogadałem się z jednym kolegą z Jaroszewic, Waławem Butrynem, który z chęcią pomagał w tworzeniu teatru. Było to po wyzwoleniu z okupacji niemieckiej. Zdawali sobie sprawę z systemu, jaki przyjęła władza ludowa, jednak graliśmy również sztuki patriotyczne wykreślone przez cenzurę. W straży zawiązała się orkiestra dęta. Zapisano się do niej dwudziestu siedmiu strażaków. Rozpoczęły się próby. Ja, mimo chęci, nie mogłem grać, ponieważ nie było mnie stać na instrument. Chodziłem z trzema kolegami z Zosina na próby do remizy i z zazdrością przyglądałem się orkiestrze. Postanowiłem zbierać grosz do grosza na zakup instrumentu. I nareszcie zaproponowano mi klarnet. Brakowało mi trochę pieniędzy. Zarząd straży pomógł mi w zakupieniu klarnetu i zacząłem nadrabiać zaległości w graniu. Pomagał mi bezinteresownie jeden z kolegów, który grał na klarnecie, Aleksander Ciechański z Jaroszewic, za co byłem mu bardzo wdzięczny i jestem do tej pory. Granie nie trwało długo, daremnie przemierzałem 3 km drogi na próby do kolegi. Już zacząłem grać w zespole, z czego byłem bardzo zadowolony. Na jednej z prób w remizie, jak to bywało wśród prawie trzydziestu chłopów, nie obyło się bez żartów. Kolega dmuchnął mi basem w ucho, chciałem mu się odwzajemnić. Nabrałem powietrza i z całej siły dmuchnąłem jemu w ucho. Coś mnie ukłuło w piersiach. Po jakimś czasie, kiedy zacząłem słabnąć, okazało się, że pękło mi płuco. Prawie rok spędziłem w szpitalu i granie zakończyłem.

Pragnę opisać jedną z wielu sytuacji, jakie zdarzały się na uroczystościach państwowych.

Musieliśmy na nich grać, ponieważ władza samorządowa dołączała finansowo do naszej orkiestry. Robiliśmy to niechętnie. Zawsze jednak wytargowaliśmy przy okazji beczkę piwa, co sprawiało nam największą przyjemność. Byliśmy jak rodzina, wszyscy zgodnie słuchali kapelmistrza, a głos starszych kolegów również się liczył, aby nie popaść w kolizję z władzą. Jedną z ciekawszych sytuacji, a było ich wiele, zdarzyła się podczas uroczystości pierwszomajowej. Na trybunie honorowej sekretarz miejscowej organizacji PZPR w Beżycach rozpoczął od powitania gości. Ponieważ jąkał się w czytaniu, oznajmił, że przemówienie pierwszomajowe wygłosi jeden z robotników. Tak też się stało. Potężne chłopisko – przepchnął się z tyłu trybuny, stanął na przedzie i rozpoczął zapowiedziane przemówienie. Ktoś z tyłu podpowiadał mu co ma mówić, ponieważ nie umiał czytać. Krótko wygłosił hasło o sojuszu robotniczo-chłopskim, pochwały dla władzy ludowej itd. Przemówienie było również nasycone podziękowaniami dla Związku Radzieckiego. Kiedy zakończył, chciał dodać coś od siebie i podniesionym głosem wykrzyknął: „Niech żyje Józef Stalin i jego rząd w Warszawie”. Rozległy się oklaski, ktoś zaintonował dla mówcy sto lat. My również wstaliśmy od piwa i wśród śmiechów zagraliśmy sto lat. Zakończyło się to stawieniem na komisariacie milicji. Najpierw kapelmistrz, który wziął wszystko na swoją odpowiedzialność. Już nie pamiętam, jak z tego wybrnął. Później jednak wszystkich pojedynczo wzywano „na milicję”, jak to się potocznie mówiło. Wtedy nie było nam do śmiechu. Po „wiecie, słuchajcie obywatelu ...” uświadomiono nas, jak się mamy zachowywać na tak poważnych uroczystościach. Skończyło się bez poważniejszych konsekwencji, bo orkiestra była potrzebna władzy.

Było to tuż po wyzwoleniu. Graliśmy „Chatę za Wsią” w dworcu opuszczonym przez dziedzica. Młodzież uporządkowała jedną z sal i tu odbywały się imprezy. Na widowni zebrało się tylu

widzów, że nie mogliśmy ich pomieścić. Po przedstawieniu okazało się, że między widzami znalazł się ormowiec, który donosił o wszystkim władzy ludowej, milicji i UB. Był z nim również jeden z działaczy partyjnych z Beżyc, czuwający nad pracownikami kultury, zresztą nie tylko. Poszli do chłopaków i zaczęli wypytywać czy mamy zezwolenie, czy sztuka cenzurowana, itd. Nie mieli o tych sprawach zielonego pojęcia, a ponieważ jeden i drugi był im znany, chłopcy wyśmiali ich i odeszli. Nie wiedzieli, że ci mają taką władzę. Za dwa dni zjawił się przedstawiciel władzy, najpierw u ciotek, które oświadczyły, że na niczym się nie znają, następnie u pani Nagnajewicz. Ponieważ wszystko było w porządku, sztuka ocenzurowana, zezwolenie wydane zgodnie z wymaganiami, trzeba było tylko odprowadzić podatek do wydziału finansowego od sprzedanych biletów. Mieliliśmy jednak inne bilety na własny użytek, a te opieczętowane przez urząd, sprzedawane były osobom obcym i podejrzanym. Ci dwaj oberwańcy mieli akurat bilety z urzędową pieczęcią. Dobrze, że nie sprawdzili, ile było sprzedanych biletów urzędowych, ponieważ ich liczba nie zgodziłaby im się z ilością widzów. Po tej przygodzie byliśmy już ostrożniejsi.

Z „Chatą za wsią” jedziemy do remizy w Zosinie. Tu też pełno ludzi, wszystkie ławki zajęte, dostawiamy krzesła gdzie tylko można, zaczynamy! Otwarto duże drzwi, mimo że to już jesień, zrobiło się duszno. Przed drzwiami przy stoliku bileter nie można sobie dać rady z chętnymi, lecz nie ma gdzie ich wepchnąć. Stoją więc na dworze. Odbywa się przedstawienie, cisza, wtem jakieś zamieszanie. Chłopcy z Jaroszewic dają znać, że przybył na przedstawienie niebywały gość i trzeba go posadzić na przodzie, bo takie ma życzenie. Był to mieszkaniec wsi Jaroszewice, dobrze znany pracownik UB w Warszawie. Przyniesiono dwa krzesła od sąsiada Skawińskiego i zaproszono niebywałego gościa. Uważajcie na niego, oświadczyli chłopcy z Jaroszewic, nie wdawajcie się z nim w dyskusje, gdyby coś takiego się działo. Przedstawienie odbywa się dalej. Scena z udziałem głupiego Janka, którego

gram i Matruny. Na sali śmiech, wtem na salę wpada pies. Spojrzałem – to nasz burek urwał się z łańcucha i po śladach przybiegł do remizy, poznał mój głos, zaczął się cieszyć i przy chóralnym śmiechu widowni uczestniczył w przedstawieniu do końca. Ludzie, z którymi się spotykam, do dzisiaj wspominają tamte czasy i nie wierzą, że burek nie był tresowany. Przedstawienie ma się ku końcowi. Nasz niepewny gość w pewnym momencie opuścił salę. Widocznie mu się znudziło wiejskie przedstawienie. Za jakąś godzinę, może niecałą, słyszymy strzały. Kule przelatują przez deski, ludzie padają na podłogę i ławki lub stoją w strachu, nie wiedząc co robić. Ogólny rozgardiasz. Strzelanina przenosi się gdzieś dalej. Zaczyna się zabawa strażacka. Byłem nią zainteresowany, ponieważ miałem schowane pod sceną kilka woreczków prochu. Ukradliśmy je z magazynu Ruskim, którzy stali u nas w gospodarstwie, a magazyn mieli w ogrodzie. Za woreczek można było dostać od chłopaków ładnych parę złotych. Raz po raz wyciągałem je spod bluzy i rozwijał się handel. Wtem do remizy wchodzi żołnierze – nazywano ich „Resort” albo UB. – Wszyscy pod ściany! – Krzyknął jeden z dowódców i rozpoczęto rewizję. Zdażyłem wyrzucić resztę woreczków pod ścianę i odskoczyłem w drugie miejsce. Nic nie znaleziono, jedynie moje woreczki z prochem. Wyszedł z nimi na środek jakiś oficer i głośno krzyknął: – Czyje te woreczki! Cisza. – Która z pań powiększała sobie piersi tymi woreczkami z prochem! Niech się przyzna! Ogólny śmiech wśród żołnierzy, jakieś niecenzuralne słowa i po chwili padł rozkaz zbiórki. Podjechały samochody i odjechały. Okazało się, że pod koniec przedstawienia w remizie zjawił się mój cioteczny brat, Józef Maj s. Bartłomieja, w pełnym uzbrojeniu. Od czasu okupacji był w partyzantce w „Lotnej”, tak nazywano oddziały dywersyjne, ukrywające się w lasach. Po rzekomym wyzwoleniu jeszcze przez dłuższy czas nie ujawniał się, działając nadal pod dowództwem „Zapory” przeciwko okupantowi sowieckiemu i narzuconej władzy komunistycznej. Ten gość wyszedł i doniósł do UB w Lublinie. Do rana przeszukiwano wieś Zosin. Brata nie znaleźli. Mimo postrzału w nogę zdołał uciec.

Graliśmy jeszcze wiele sztuk w remizie w Zosinie. Pragnę przypomnieć jedną z wielu, takich jak ta, sytuacji. Graliśmy sztukę „Znajdziesz w polu mój grób”. Była to sztuka opowiadająca o partyzantach. Zdawali sobie z kolegą Butrynem sprawę, że możemy mieć nieprzyjemności, jeśli ktoś doniesie na milicję lub UB, ale Polak lubi działać odwrotnie. To, czego mu się zabrania, czyni na przekór i to z wielką przyjemnością. Jak wszędzie tak i tu w Jaroszewicach czy Babinie byli ludzie niepewni, ale co tam, żaden z nas nie myślał, że ktoś może nam zaszkodzić i wtedy tłumaczenie władzy ludowej może się źle skończyć. Jak zawsze, ludzi przyszło bardzo dużo, sala nie mieściła wszystkich widzów, więc znowu otworzono drzwi i ludzie patrzyli z zewnątrz. Jeden z kolegów-aktorów zachorował. Dobrze, że nie miał żadnego tekstu do mówienia i mogliśmy go zastąpić inną osobą. Naraz kolega Waław Butryn zaniemówił. Po chwili oświadczył: – Tadek! Mamy ormowca, człowieka niepewnego, możemy „beknąć”; po czym pomyślał chwilę i dodał – mam go w d... spróbuję go zatrudnić. Podszedł do ormowca, porozmawiał z nim i ten zgodził się na statystowanie. Dostał ubranie przyniesione od sąsiada, pas i karabin. Wszyscy, z uśmiechem na ustach, jak jeden mąż oświadczyli: jak on ładnie wygląda, jak prawdziwy partyzant. Ponieważ urzędowałem społecznie w „Lidze Przyjaciół Żołnierza” z bronią nie mieliśmy kłopotu. Kolega Butryn uśmiechnął się do mnie i głośno powiedział – Zaczynamy. Kiedy była scena przy ognisku, wszyscy usiedli. Grałem jednego z partyzantów o imieniu Władek, do dzisiaj koledzy, którzy żyją, mówiąc do mnie używają tego imienia i twierdzą, że to mała różnica Władek czy Tadek. Wracajmy jednak do sedna sprawy. Partyzanci zaczęli nucić piosenkę. Kończyła się mniej więcej tak: „Wróg nasz odwieczny zginął z rąk akowca” zaś kolega dodał, poklepując po ramieniu zastępującego – „a teraz pójdziemy sprzątnąć ormowca”. Zasypano nas brawami, lecz nam nie było do śmiechu, mimo że widzowie śmiali się od ucha do ucha. Spojrzeliśmy wszyscy na „dublera”, mocno się zaczerwienił, a my zrozumieliśmy, że coś przeżywa. Przedstawienie ciągnęło się dalej. Po zakończeniu zachwalaliśmy, jak to mu dobrze poszło, wypiliśmy po kie-

liszku i rozeszliśmy się do domów. Skóra na nas trochę cierpła, ale jak zawsze, wszystko przeszło gładko. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że ów „dubler” zrezygnował z przynależności do ORMO. Jednocześnie stał się naszym kolegą. Było jeszcze wiele sytuacji śmiesznych i mniej śmiesznych oraz takich, że na śmiech nam się nie zbierało. Ale na tym polegała zabawa, jak również wychowanie patriotyczne.

Warto wspomnieć o jeszcze jednej z wielu sytuacji, jaka zdarzyła się w czasie, kiedy ciotki moje prowadziły teatr. Było to tuż po wyzwoleniu, brat jeszcze się nie ujawnił. Był październik, pogoda była piękna i ciepła, więc na próby umawiano się co trzeci dzień. Pamiętam, że próba miała odbyć się w sobotę, młodzi mówili, że przy sobocie po robocie, to się i pośmiejemy i pobawimy. Z czwartku na piątek w nocy przyjechał brat Józek, syn Bartłomieja z kolegami. Zabrali konie sąsiadowi i pojechaliśmy dwiema furmankami odebrać ostatni już wtedy zrzut na tym terenie. Noc była dość widna, jechaliśmy polnymi drogami za jadącym rowerem przewodnikiem. Co jakiś czas przewodnicy się zmieniali. Przed Puławami rowerzystę zmienił jeździec na koniu i dołączyło jeszcze ze czterech mężczyzn uzbrojonych po zęby. Nie pamiętam, w jaką okolicę pod Puławami zostaliśmy doprowadzeni. Łąki, jakieś małe zabudowania. Tu roilo się od partyzantów. Załadowano nam na wozy skrzynie, na wierzch położono worki ze zbożem i powrót. Kiedyśmy odjeżdżali, przyjechały następne furmanki. Przewodnicy zmieniali się w połowie drogi, a my dojechaliśmy do Podola. Tu została jedna furmanka, a ja z bratem i jeszcze z dwoma partyzantami dojechaliśmy do Zosin. Już świtało, zrzucano worki, a skrzynie zakopano w stodole w sнопach żyta. Brat odprowadził konia do sąsiada i wszyscy się rozjechali. Dokąd, dokładnie nie wiem. W piątek, około godziny dziesiątej, przyjechał brat z kolegą i czym prędzej zaprzęgliśmy konie do wozu i wywozimy skrzynie, ponieważ UB zatrzymało w Puławach na moście jednego z partyzantów, który brał udział w załadunku i odbiorze zrzutu. Niedługo może być rewizja. Za-

ładowali skrzynie na wóz, nałożyli słomy, przewiązali drążkiem. Przez Podole, „Dołek”, przez Matczyńskie pola dojechałem do „Palikińskiego” lasu. Tu czekała już furmanka. Brat z kolegami rozładował wóz ze słomy i skrzyń. Słomę spalono, a ja wróciłem do domu. Spodziewaliśmy się najgorszego. Odwołano próbę. Spodziewaliśmy się w domu „Resortu” lub UB. Nie wiedzieliśmy, kiedy to może nastąpić. Zgromadzenie młodzieży byłoby pretekstem do rozmaitych podejrzeń o zebranie tajnej organizacji. Tak też się stało. Wieczorem zajechały samochody, obstawiono zabudowania i zaczęto rewizję. Najpierw w stodole, żołnierze szpikulcami z drutu szukali w sнопkach, na poddaszu, w obozrze, na strychach. A kiedy nic nie znaleźli, wpadli do mieszkania z krzykiem: – gdzie broń, gdzie skrzynki? Gdzie Józef Maj? Ciotka Katarzyna coś kroila do szycia. Jedna z ciotek, Małgorzata przędała na wrzecionie. Babcia siedziała na łóżku, ja na krześle przy stole. Ciotka Katarzyna oświadczyła, że Józef Maj umarł w 1934 roku, ponieważ zdrowie stracił na Syberii. To jeszcze gorzej podziałało na zbirów. – Ale Józef Maj syn Bartłomieja! – Krzyczał jakiś oficer, niesamowicie klnąc i bluźniąc niecenzuralnymi epitetami. – Gdzie broń! – Ciotka Katarzyna odwróciła się do zbirów i powiedziała – Józef Maj nie wiem gdzie jest, a broni nie było i nie ma. Szukajcie. Wtedy jeden z ubowców wyszedł. Słysząc było jęk i uderzenia, widocznie bito zatrzymanego. Ten, patrząc przez okno, widocznie powiedział, że ta, która przędzie, to siostra Józefa Maja. Może nie poznał lub chciał oddalić od siebie maltretowanie. Wbiegł szybko ten, który wychodził i od razu do ciotki Małgorzaty wrzasnął – Gdzie brat! Jak nie powiesz, to cię zatłuczemy jak sukę! Gdzie broń! – Posypały się przekleństwa. Ciotka ze spokojem oświadczyła – Po pierwsze nie jestem siostrą Józefa Maja, broni nie było i nie ma, odczepcie się od nas. Wówczas jeden z nich złapał „krażel”, na którym przywiązano len i zaczął bić gdzie popadło. Po głowie, po rękach, po plecach, tak jak zwierzę, które znęca się nad ofiarą. Ciotka upadła na podłogę, z nosa i ust popłynęły stróżki krwi. Jeden krzyknął po rosyjsku – poczekaj, krew! Ciotka Katarzyna złapała nożyczki i podskoczyła do zbirów, aby cucili pobitą. Złapała wody, polala siostrę, a sama po rosyjsku, ponieważ dobrze mówiła w tym języku, zaczęła ich wymyślać. Zaczęto ciotkę cucić wodą i innymi

sposobami. Ubowcy byli zaskoczeni słysząc ten język. Stanęli jak wryci. Ciotka Katarzyna zbliżyła się do krzesła, gdzie siedziałem, udając, że czegoś szuka i powiedziała cicho – leć do Toli. To była ciotka, która mieszkała pod lasem około 2 km od nas. Ciotka po rosyjsku wymyślała dalej ubowcom, aby pomogli zająć się pobitą. Zrobił się ruch w mieszkaniu, ja wybiegłem przez podwórko na polną drogę sąsiada. Ktoś krzyczał – stój! Usłyszałem donośny głos ciotki Katarzyny – przestraszyliście mi dziecko! Banda zbirów! – Tadziu! Tadziu! – wiedziałem, że muszę biec. Nie wiem, kiedy dobiegłem pod las do ciotki Toli. Wpadłem do mieszkania i zobaczyłem, że brat siedzi przy kuchni. Uciekaj, bo UB! Brat złapał co miał i w nogi do lasu. Już od szosy jechały samochody. Ja zawróciłem i przez pola przybiegłem do lasu. U ciotki Toli przetrzęsiono zabudowanie i też pytano o Józefa Maja. Ciotka ze spokojem poinformowała nieproszonych gości, że ojciec zmarł w 1934 r. i że to jakaś pomyłka. Ciotka była starszą kobietą, może dlatego nie czepiali się, by bić. Jeszcze powiedziała, że mąż zginął na Majdanku, bo wylądował koło lasu jakiś samolot w czasie okupacji. Pochodzili i odjechali. Do takich wizyt byliśmy przyzwyczajeni. Wujek Bartłomiej został osadzony w więzieniu we Wronkach. Czas robił swoje. Na następny tydzień zebrano się na próbę. Chłopcy z Matczyna, Wojcieszyna, jak zobaczyli posiniaczoną ciotkę Małgorzatę, zaczęli się podśmiewać, że rąbała drzewo. Ciotka odpowiedziała, że wpadła na ubowców. Nastąpiła cisza. Wszyscy zaniemówili. Zrozumieli o co chodzi. Ktoś wyszeptał „przepraszam” – i rozpoczęła się próba. Tego wieczoru nie było tak wesoło. Wszyscy wiedzieli jak się zachować i robili swoje.

Tualiśmy się, a to w starej szkole, to w szkole urządzonej w pałacu dziedzica. Już nie mogliśmy zrobić sceny, dlatego musieliśmy grać w stodółach. Nie wiem dlaczego, ale na pewno z pobudek patriotycznych wynalazłem sztukę „Legioniści z wiejskiej zagrody”. Kiedyś sobie uświadomiłem, że za sam tytuł w czasie stalinowskim można było posiedzieć z dychą w więzieniu. Jednak z panią Nagnajewicz uznaliśmy, że zagramy. Nie

wiem też, co mi przyszło do głowy pojechać z tą sztuką do cenzury. Mieściła się – jeśli dobrze pamiętam – na ulicy Szopena 5 na drugim piętrze. Przedstawiłem siedzącej, dość puszystej pani, że chcę zezwolenie na wystawienie tej sztuki. Sztuka już była gotowa do grania. Pani popatrzyła na mnie i poprosiła żebym usiadł – co uczyniłem z podziękowaniem. Wzięła sztukę do rąk, spojrzała na tytuł, przewróciła kilka kartek czytając. Spojrzała jeszcze raz na mnie, położyła sztukę koło telefonu blisko siebie i podniosła słuchawkę. Wymieniła nazwisko: Towarzysz Jaszczuk. Zorientowałem się, że dzwoni na Krakowskie Przedmieście 47. Mieściło się tam UB. Stamtąd mój brat wujeczny Urban Maj, syn Bartłomieja, wrócił cały siny, a wymienione nazwisko nosił jeden z oprawców, który go przesłuchiwał. Bez wahania złapałem sztukę i w nogi. Pani rzuciła słuchawkę i za mną. Usłyszałem tajemniczy trzask zamka, jeszcze jeden, ale już byłem za drzwiami. Kiedy byłem przy końcu schodów zobaczyłem, że Pani wraca do pokoju i to dość szybko. Nie wiem, kiedy wyskoczyłem na ulicę, powoli wmieszałem się między ludzi. Zdawało mi się, że mnie ktoś goni i zaraz mnie złapie. Szybkim krokiem doszedłem do wujostwa Litwińskich na Podgrodzie i tu zostałem do wieczora, nie przyznając się, po co przyjechałem. Kiedy na drugi dzień zjawiłem się na próbie, najpierw o całym zajściu powiedziałem pani Nagnajewicz. Postanowiliśmy, że o tym wszystkim nikt się nie dowie. Dobrze, że nie powiedziałem w cenzurze kim jestem i nie wymieniłem miejscowości. Przełożyliśmy występ o dwa tygodnie, tłumacząc grającym w tej sztuce, że musimy jeszcze ją dopracować. Była niedziela. Wywiesiliśmy ogłoszenia, ale z innym tytułem sztuki, a do jej zobaczenia zachęcał ks. proboszcz. Niewiele by to dało, gdyby przyszła kontrola z wydziału kultury. Godzina 16.00. Na wykonanej przez młodzież scenie u jednego z gospodarzy w Matczynie uwijali się aktorzy, natomiast na „bojowisku”, lub inaczej „klepisku” ustawiono ławki z desek położonych na pustakach. Ludzie nie mogli się pomieścić. Wchodzili gdzie mogli, nawet młodzi wchodzili na belki, aby dobrze obserwować przedstawienie. I znów konsternacja. Niespodziewanie zjawia się gość, o którym nawet nie pomyśleliśmy. Przyszedł z żoną i prosi o pierwsze miejsca. Chłopcy przynieśli z mieszkania dwa krzesła. Kupili bilety i usadowiono ich w pierwszym rzędzie,

aby nie przeszkadzali innym. Był to człowiek niepewny, a nawet bardzo niepewny. Pochodził z tej miejscowości, pragnął władzy, więc dostał się do pracy w UB w Warszawie. Wszystko mogło się zdarzyć. Poszliśmy z panią Nagnajewicz do mieszkania i radzimy, co robić. Może odwołać przedstawienie? Ale jak, tak nagle, czym to wytłumaczyć? Ludzie się niecierpliwą, zaczynają gwizdać, aktorzy nie wiedzą, co się dzieje, co raz ktoś przychodzi i pyta „co jest grane”. Pani Nagnajewicz tłumaczy, że źle się poczuła, ale zaraz idziemy. Decydujemy, że gramy. Idąc przez podwórze do mieszkania, wpadł mi do głowy pomysł, żeby tego gościa zatrudnić w przedstawieniu. W pewnej scenie trzeba było strzelać. – Dobra myśl, Tadziu! – krzyknęła. Weszła na scenę i zwróciła się do ubowca: – Panie kochany, czy nie mógłby pan strzelić, bo zamokli nam korki – powiedziała z lwowskim akcentem. – Cemu nie! – Ubowiec chciał się pochwalić, że ma broń i jest taki usłużny i grzeczny. – To proszę bardzo, wejdzie pan za kulisy, ja panu machnę ręką w odpowiednim czasie, a pan strzeli. Tylko nie w górę, bo zrobiłby pan w blasze dziurę, trochę niżej, w deski. W tym czasie nie było aktora, który miał się po strzale przewrócić, dlatego też gdy rozległ się strzał, a huk w stodole był podwójny, wchodzący na scenę nie wiedział co się stało i przewrócił się z opóźnieniem, co wywołało chwilowy śmiech. Dalej wszystko potoczyło się normalnie. Po przedstawieniu poprosiliśmy pana ubowca na scenę i wobec wszystkich pani Nagnajewicz podziękowała przepraszając jednocześnie, że niewiele widział i że brał udział w przedstawieniu. Dopiero kiedy się wszyscy rozeszli, na krótkiej naradzie zespołu zostały przekazane wszelkie informacje o przeszłych i najnowszych perypetiach. Jeszcze kilkanaście dni nosiliśmy duszę na ramieniu, nie byliśmy pewni swego zwyczajstwa. Lecz wszystko zakończyło się pomyślnie. Byliśmy dumni z przekazania ludziom sporej dozy patriotyzmu.

Organizując Koło Związku Młodzieży Wiejskiej, z zadowoleniem patrzyłem, jak się rozwija, jak młodzież łączy do tej organizacji. Było nas coraz więcej. Podjąłem decyzję o samodzielnym

prowadzeniu teatru, i całego życia kulturalnego na wsi. Zainteresowanie życiem kulturalnym rosło z dnia na dzień. Tułaliśmy się tylko, gdzie było można. Postanowiliśmy zagrać sami sztukę „Bywa i tak na świecie” B. Prusa. Rozdzieliłem role i zaczęły się próby. Był czerwiec. Lato nam sprzyjało pogodą. A młodzież nie kryła wielkiego zadowolenia. Reszta młodzieży była zawiedziona, ponieważ sztuka liczyła małą ilość osób. Wybrałem najstarszych i najbardziej zapalonych, choć innym także nie brakowało ochoty. Reszta rozumiała, że od czegoś trzeba zacząć, a zależało nam, aby pierwsze przedstawienie wypadło jak najlepiej. Mimo pracy w polu, w gospodarstwie, wieczorem wszyscy przychodzili na próby. Nauka postępowała szybko i w miesiącu sierpniu wystawiamy sztukę. Przed wystawieniem sztuki zgłosiłem się do Wydziału Kultury urzędu powiatowego, aby pracownik tego wydziału zezwolił na jej wystawienie. Cenzura, jak już nadmieniałem, była pierwszym obowiązkiem prowadzącego imprezę. Kierownik wydziału obejrzał sztukę i zatrzymał na dwa dni, ponieważ musiał ją przeczytać. Mimo, że tłumaczyłem, iż sztuka jest obowiązującą lekturą – co było z mojej strony kłamstwem – że to Bolesław Prus, itd. Nic to nie pomogło. Sztuka musiała być oceniona przede wszystkim przez gremium partyjne sekretarza PZPR, w tym wypadku powiatowego. Zostałem zrugany, że ze sztuką należy przyjść zanim zostanie podjęta decyzja o jej wystawieniu. Stuliłem uszy, przyznając rację urzędnikowi, myśląc swoje, a ten był z kolei zadowolony, że pouczył nieświadomego obywatela. Przed niedzielą zgłosiłem się ponownie. Dość długo kierownik perswadował mi, że to sztuka, która poniża służącego jako człowieka, itd. Słuchałem, jak przysłowiowa świnia grzmotu. Po danej mi pogładowej lekcji uświadomił, że jako działaczowi młodzieżowemu robi wielką łaskę i zezwala na jej wystawienie. Myślałem, że dostanę zawału, wzięłem sztukę, wykrztusiłem „dziękuję”, a krok za drzwiami powiedziałem „mam was tam, gdzie kura jaja” i już trochę łagodniejszy wyszedłem na ulicę. Zdawałem sobie sprawę, że na przedstawieniu może zjawić się ktoś z pracowników wydziału kultury, albo zobowiązać jakiegoś ormowca lub członka POP w Matczyni. Dobrze, że nikt nie dopatrzył się, że przed uzyskaniem zezwolenia na wystawienie sztuki na wsi wisiły ogłoszenia informujące miejscową społeczność.

Kiedy przygotowywaliśmy się w niedzielę do przedstawienia, nic nie wskazywało na większe zainteresowanie społeczeństwa. Na godzinę przed przedstawieniem zaczęły pojawiać się dzieci i pojedyncze osoby. Kupowano bilety, a my z opuszczonymi nosami „na kwintę” czekaliśmy jak skazani. Cisza i nic więcej, aż wreszcie nastąpiło to na co czekaliśmy. Nie wiadomo skąd, sala wypełniła się po brzegi. Poprawiły nam się miny i wróciła radość z gry. Pierwsze pieniądze zachęciły nas do dalszej pracy. Po końcowych brawach, nawet podesłani miejscowi partyjniacy składali nam gratulacje. Tak zakończyła się pierwsza impreza przygotowana samodzielnie.

Od młodości interesowała mnie kultura katolicka, kultura sakralna. Kiedy zacząłem działać sam w dziedzinie kultury, pomyślałem o wystawieniu „Jasełek” lub „Misterium Męki Pańskiej”. Było to wówczas niemałe ryzyko, wystawienia publiczne można było ryzykować jedynie w kościele, choć i tu, dzięki czujności członków PZPR i ormowców można było zarobić kolegium, o czym jeszcze napiszę. Nie było mowy o cenzurze. Co Polakowi zakazane, on musi czynić odwrotnie. Tak też uczyniłem. Zaproponowałem młodzieży przygotowanie „Jasełek”. Jednogłośnie dostałem akceptację. Zacząłem poszukiwać tekstów. Wreszcie, po sporych trudach zdobyłem tekst, rozpisaliśmy role i zaczęliśmy próby. Zadowolenie było wielkie, każdy chciał się jak najszybciej uczyć, młodzież nie mogła doczekać się czasu przed Bożym Narodzeniem. Nigdzie w terenie, a nawet w województwie, nie słyhać było o takim przedstawieniu. Nadszedł czas, na który czekaliśmy. Była to również próba dla mnie. Ks. proboszcz ogłosił z ambony, a młodzież w sobotę wieczór wywiesiła ogłoszenie w innych parafiach. Niedziela, Msza Święta rano, suma o godzinie 11.00 i po sumie przedstawienie. Myśleliśmy, że nie będzie zainteresowania. Okazało się, że różnymi pojazdami, pieszo z innych parafii, przybywali ludzie. W kościele zrobiło się ciasno, proboszcz uśmiechał się z zadowolenia. Zobacz na ściany – powiedziało do mnie. Po ścianach z ciepła aż popłynęły strugi – poca

się jak i my – odpowiedziałem księdzu. Uśmiechnął się, klepnął mnie po ramieniu. Wszyscy byli gotowi. Nastąpiła cisza. Ksiądz w kilku słowach wprowadził widownię w wartości tekstu i czasu Bożego Narodzenia. Zaczął się występ. Widzowie byli zachwyceni, widać było to po minach. Nie wiedzieli, czy w kościele można grających oklaskiwać. W przerwie proboszcz oznajmił, że można aktorów nagrodzić oklaskami. Nastąpił jeden szum, klaskanie, a nawet odgłosy „brawo”. Tak było za każdym razem między aktami. Natomiast na koniec rozległy się niekończące brawa, co bardzo ucieszyło i zmobilizowało młodzież do pracy. W zespole uczestniczyło dwóch parafian, którzy przy wejściu, siedząc przy stole, czuwali nad postawioną tacą. Ci, którzy wchodząc nie położyli „grosza”, wychodząc wzbogacili fundusz tak, że „kasjerzy” musieli skorzystać z woreczka. W następną niedzielę przedstawienie powtórzyliśmy jeszcze raz. Stawiło się niewiele mniej widzów. Reakcja publiczności była taka sama. Po przedstawieniu poczęstunek i rozmowy nad dalszą pracą. Za zebrane pieniądze zakupiono ornat, znak pracy młodzieży dla własnej parafialnej społeczności, a przede wszystkim dla kościoła.

Już pisałem o moim zainteresowaniu kulturą sakralną. Miałem okazję wypróbować swoje siły i umiejętności, którymi mnie Pan Bóg obdarzył, w pracy na rzecz szerokiej rzeszy publiczności. Nie tylko dla naszych parafian, również innych widzów w sąsiednich parafiach, do których zaczęliśmy wyjeżdżać. Rok był trudny. Jednak pod koniec lata powtórzyliśmy sztukę „Bywa i tak na świecie”, która cieszyła się dużym zainteresowaniem. Graliśmy ją również w Lublinie z okazji Dnia Kobiet. Kobiety przyjęły nas bardzo dobrze. W jesieni rozpoczęliśmy próby jasełek. Znowu uciecha i zadowolenie z pracy. Jednak dla mnie zaczęło się niewesoło. Po Bożym Narodzeniu otrzymałem wezwanie na posterunek. Przesłuchujący milicjant zaczął od „grania na mojej ambicji”. Wreszcie nie wytrzymałem i pytam, o co chodzi? Zastanowił się, wziął kartkę papieru, ołówek i zaczął pisać „protokół”. – Słuchajcie! Wy wystawialiście jakieś jasełka w kościele

w Matczynie. – A nie byliście? Cisza. – Słyszycie! – Tak – odpowiedziałem spokojnym głosem. – A mieliście na to zezwolenie? – Nie, na nabożeństwo zezwolenia nie trzeba. – Nabożeństwo „robi” ksiądz, a nie wy! – Zajrzał do notesu, gdzie miał notatkę przekazaną przez donosiciela. – No i co! – A nic, upoważnił mnie do tego proboszcz i zalecenie wykonałem. – Zaangażowaliście do tego młodzież, co mija się z socjalistycznym wychowaniem! Nie wiecie o tym? – zaczął coraz głośniej. Wyjąłem Konstytucję i przeczytałem mu odpowiedni artykuł. Zbaraniał. Zobaczyłem, że pot zalał mu czoło, ołówek zadrżał mu w ręku, kazał mi wyjść i poczekać. Po jakimś czasie zszedł z góry i poszliśmy do pokoju, gdzie mnie przesłuchiwał i już z innej beczki zaczął „socjalistyczną” rozmowę. – Wiecie, jako działacz młodzieżowy, powinniście dbać o socjalistyczne jej wychowanie, w innym wypadku podejmiemy inne kroki. Uśmiechnąłem się, a to doprowadziło go do złości. Wykrzykiwał nade mną, myślałem, że mnie uderzy, jednak tego nie zrobił, a ja siedziałem spokojnie. – I czego się nie odzywacie! – krzyknął. – No bo mówi obywatel władza, a ja nie mam gdzie wtrącić słowa. Otarł pot czoła i innym głosem zwrócił się do mnie. – Napiszemy protokół? I zaczął pisać dość nieudolnie, kreśląc coś raz po raz, wreszcie kazał mi go podpisać. Zaraz, muszę przeczytać. Nie dał mi kartki do ręki, a sam zaczął sylabizować nieskładające się do kupy zdania. Kiedy zakończył czytanie podsunął mi kartkę do podpisu. Protokołu nie chciałem podpisać dotąd, aż zamienił słowo przedstawienie na nabożeństwo i nie dodał, że nie jestem upoważniony do wychowywania dorosłej już młodzieży. Protokół podpisałem i wychodzę. – Słuchajcie! Żebym wam nie przypominał, co można a co nie! Rozumiecie? – Tak jest – odrzekłem, myśląc co innego, czego nie warto tu pisać. W niedzielę spotkałem się z proboszczem, który był zaskoczony. – Może by przestać, żeby nas nie „ciągali”? – Do drugiego Bożego Narodzenia mamy czas, pomyślmy. I tak zakończyło się następne przeżycie z władzą ludową.

Czas mijał, dalej odbywały się przedstawienia, jak również jasełka. Zebraliśmy sporo pieniędzy. Na zebraniu koła Związku Młodzieży Wiejskiej uradziliśmy, aby kupić do kościoła dzwonki, bo stare się rozlatywały. Młodzież zdecydowała również o zorganizowaniu wycieczki w góry. Tak też uczyniliśmy. Wszystko polegało na mojej głowie. Załatwiłem autobus i całą resztę. Ile było radości, kiedy dojechaliśmy do Zakopanego. Znalazłem noclegi w klasztorze, czy gdzieś u zakonników i stamtąd mieliśmy bazę wypadową. Zorientowałem się, że sam mam za dużo obowiązków i przyrzekłem sobie, że gdyby coś takiego się powtórzyło, będę brał opiekunów. Jaka była radość z wjazdu na Kasprowy; tylko mnie wjazd przysporzył kłopotu, bo zaginął mi chłopiec. Dopiero po jakimś czasie poszukiwań na dole i na górze patrzymy, a on wraca ze strażnikiem czeskim, ponieważ przeszedł przez granicę. Zrobiło mi się najpierw gorąco, potem zimno; zanim doszedłem do siebie strażnik się uśmiechnął i miłym głosem pożegnał się ze mną. Zrobiłem zbiorke, przeliczyliśmy towarzystwo i zjechaliśmy na dół. Zrugaliśmy go troszkę, ale jakbym rzucał grochem o ścianę. W drodze powrotnej zajechaliśmy do Częstochowy. Tu zachowanie było wzorowe. Po modlitwie i zwiedzaniu klasztoru wróciliśmy do domu.

Byłem tak zmęczony, jakbym wykonał jakąś wyjątkowo ciężką pracę. Z drugiej strony byłem zadowolony, że dzięki swojej pracy w zespole młodzież mogła się rozerwać, a przede wszystkim choć trochę poznać własny kraj.

Praca z zespołem i kołem Związku Młodzieży Wiejskiej szła nie najgorzej z małymi wyjątkami. Ponieważ wszedłem do Zarządu Powiatowego ZMW oraz do Rady Powiatu, traktowano mnie jakoś inaczej. Nawet rozmowy z władzami porządku publicznego były „przyjemniejsze”! Wzywano mnie dopiero wtedy, gdy donosy były „natrętne” do ORMÓ lub partyjniaków. Może dlatego, że zastosowano inne podejście do mojej osoby.

Otóż pewnego razu zjawił się u mnie w domu milicjant. Zapytał mnie, czy może ze mną porozmawiać. Oświadczyłem, że nie mam czasu, bo mam pilną pracę, ale szybko przyszło mi na myśl, że ta przerwa w mojej działalności może się zakończyć inaczej, więc usiedliśmy pod drzewem. Pytam, o co chodzi? Ponieważ ów milicjant się jąkał, wykrztusił wreszcie, że chciałby się spotkać z młodzieżą i wygłosić wykład. Więc pytam, na jaki temat? Myślałem, że o wychowaniu socjalistycznym, lub czymś podobnym. Pomyliłem się okropnie. Wykład miał być o ... „astronomii”. Parsknąłem, brzydko mówiąc, śmiechem. Pan milicjant zdenerwował się bardzo, więc i ja udałem „głupiego” i pytam kiedy i jaki temat. Wiedziałem, że ma trudności z pisaniem, więc wyraziłem zgodę i powiedziałem, że dam znać kiedy będziemy mieli zebranie, które uzgodnię z młodzieżą. Przeprosiłem władzę, że muszę iść do pracy, a śmiech rozpierał moje piersi i z tego zaczął mnie boleć brzuch. – Słuchajcie towarzyszu, jeszcze jedna sprawa. – I zaczął wbijać mnie w ambicję... że jako działacz młodzieżowy, radny itd. Czy nie zapisałbym się do ORMÓ... znów mało nie parsknąłem śmiechem, ale dla własnego dobra wstrzymałem się, aby sobie nie zaszkodzić. – No to co, towarzyszu Sieńko? Oświadczyłem, że się zastanowię, i zapiszę się wtedy, jak wyrzucą z tej organizacji wszystkich „wariatów”. Obraził się i powiedział, że u nich w ORMÓ wariatów nie ma! Wymieniłem mu kilka nazwisk. – To nie wariaci! – oburzył się, ale zmiękł i zapytał, po czym tak sądzę. Zaproponowałem zakończyć dyskusję, ponieważ wpadła mi do głowy myśl, która potem obróciła się przeciwko mnie. Zaproponowałem mu spotkanie z moim kolegą, który dopiero co powrócił z wojska, mówiąc, że ten kolega chciałby zapisać się do ORMÓ, ponieważ jeszcze w wojsku proponowano mu dalszą służbę w milicji. Wiedziałem, że tak nie było i wiedziałem też, jak wojsko „kocha” milicję. Podałem mu nazwisko i pojechał. Kiedy kolega zobaczył milicjanta w obejściu, jak mi potem mówił, omal nie zemdłał. Ale jak milicjant podał moje nazwisko i dodał, że go przysłałem, zaprosił go do mieszkania i zapytał o co chodzi. Kiedy złożył mu propozycję, kolega wstał – a był to kawał chłopca – otworzył drzwi i wypędził go na zewnątrz. Milicjant wrócił do mnie i powiedział: ja was jeszcze „przykaraulę” za to, że napuściliście na mnie wa-

szego kolegę! I tak się stało. Za jakiś czas „wsypał” mi mandat, a i praca z młodzieżą była bardziej kontrolowana.

Jak już pisałem wcześniej, zapisałem się do straży w Matczynie. Zarząd straży postanowił wybudować remizę. Dlatego dużo młodzieży zaciągnęło się do straży, ciesząc się jednocześnie, że w przyszłości będziemy mieli gdzie spotykać się i robić próby, a tym samym współpracować ze strażą. Kiedy remizę postawiono, młodzież w porozumieniu z prezesem i zarządem włączyła się do jej wykończenia. Własnym ciągnikiem jeździłem z chłopcami po pilśń na wybicie sufitu, deski, listewki, część desek na scenę; po prostu chcieliśmy mieć udział w budowie, za co prezes obiecał nam dostępność do pomieszczeń w remizie. W roku 1959, w czasie oktawy Bożego Ciała, remizę poświęcono. Tegoż roku, 28 czerwca, remizę oficjalnie otwarto. Z radością młodzież uczestniczyła w spotkaniach, próbach do przedstawień. Organizowaliśmy zabawy, a pieniądze postanowiliśmy przeznaczyć na wycieczkę i na żyrandol do kościoła. Praca układała się na ogół dobrze, mimo rozmaitych wymogów prezesa, najczęściej nie mającego racji, albo „podpuszczanego” przez „towarzyszy”, którym nie podobała się praca młodzieży związanej z kościołem. Coraz częściej utrudniali nam pracę, aż wreszcie postanowiono nas rozliczać z pieniędzy. Do tego młodzież nie dopuściła. Grałiśmy sztuki jako koło ZMW, jak również OSP w Matczynie, aby przysporzyć życia kulturalnego tej organizacji. Tego nie chcieliśmy zrozumieć, a może nie rozumiano, więc zaprzestaliśmy reprezentować OSP w Matczynie. Występowaliśmy jako amatorski zespół teatralny „Razem” przy kole ZMP w Matczynie. Doszło do oficjalnego „spotkania” z prezesem. Zrozumiałem, że praca kulturalna większości członków straży nie interesuje, a prezes oświadczył, że coraz częściej dochodzi do głosu „partia”. Nazwał tych ludzi „manekinami”, powiedział, że on się boi o pracę i musi czasem ulegać. Mimo wszystko wyraził zgodę na nasze działanie, ale z wielką, jak zaznaczył, ostrożnością. Wkrótce zaczęły się donosy, szczególnie na mnie, jak również na księdza, kościół i naszą działalność.

To, że byłem w Radzie Powiatowej, jak również w Zarządzie Wojewódzkim i Zarządzie Głównym ZMW w Warszawie, hamowało zapędy „szczekaczy”. Mimo wszystko zazdrościłem,

że inne straże mają samochody i postanowiłem sam spróbować wystarać się o samochód dla straży. Na posiedzeniu w Zarządzie Głównym w Warszawie porozmawiałem ze znajomym z Lublina, pracującym w Zarządzie Głównym, o samochodzie dla straży. Ileż to roboty! Wziął za telefon i zadzwonił do dwu czy trzech jednostek wojskowych aż trafił, że mają do przekazania samochód „Ford”. Pojechalśmy do tej jednostki za Warszawę gdzieś w las, kolega zameldował, że jest umówiony z dowódcą i odprowadzono nas na miejsce pod gabinet dowódcy. Przyjął nas serdecznie i poprosił oficera o pokazanie nam samochodu. Stał na kołkach w garażu, wyczyszczony, aż mi się oczy zaiskrzyły. Dostaliśmy pisemko, że taka a taka jednostka może przekazać organizacji OSP w Matczyni samochód „Ford” po dostarczeniu podania, iż organizacja samochodu nie posiada, potwierdzonego przez Zarząd Powiatowy OSP w Bełżycach. Po powrocie, czym prędzej poszedłem do prezesa. Popatrzył na ten papier, wykrzywił buzię, spojrzął na mnie i ze śmiechem powiedział – Jak bym to ja się starał, to by coś z tego wyszło, ale że ty to przywiozłeś, to nic z tego nie będzie, nawet nie zawrócę sobie tym głowy. Omal nie doznałem szoku. Pojechałem do Zarządu Wojewódzkiego opowiedziałem jak to było, zadzwoniłem do Warszawy i odwołałiśmy wcześniejsze ustalenia. Do dziś dnia, kiedy się spotykamy, jeden z kolegów z Lublina zawsze o tym wspomina. Tak mój zapal został zniweczony i ostudzony przez honorowego prezesa.

Budowa remizy zbiegła się z budową szkoły. Miałem cichą nadzieję, że będziemy się zbierali w przyszłości w szkole, będzie ciepłej, ponieważ próby odbywały się przeważnie jesienią i zimą. Po oddaniu szkoły do użytku, dyrektorem został, oddelegowany na stanowisko sekretarza powiatu, a potem zdegradowany, nauczyciel początkujący, komunista. W naszym socjalistycznym stroju nawet nie było mowy, abyśmy mogli tam wejść z jasełkami czy Misterium Matki Pana Jezusa. Na początku nie pomagał, ale i nie utrudniał naszej działalności. Dopiero jak poznał środowisko i skontaktował się z „towarzyszami”, zaczęto nas szan-

tażować. Brałem odpowiedzialność wyłącznie na siebie, nie włączając w to młodzieży, aby jej nie straszyć. Bronilem się ludźmi w powiecie, którzy rozumieli, na czym polega i czemu służy moja praca z młodzieżą. Nie ustawialiśmy w swoich zamiarach i pracy kulturalnej. Moje zainteresowanie kulturą sakralną przyniosło efekty. Coraz więcej było jasełek, misterium, jak również innych imprez związanych z uroczystościami kościelnymi, ale i coraz więcej było utarczek i donosów. Zaczęliśmy z wielkim ryzykiem odwiedzać inne parafie. Młodzieży utrudniano spotkania, a i zimno dawało się we znaki. Do przybudowanych pomieszczeń remizy wstawiliśmy piec i tu było przytulniej. Mimo wszystko, pomijając towarzyszy, znajdowali się ludzie o małej świadomości intelektualnej, kulturalnej, którzy towarzyszyli kłamliwej propagandzie partyjnej i miejscowym ormowcom. Sprawa co raz bardziej zaczęła się komplikować, ale działaliśmy dalej. Trudno tu rozpisywać się w szczegółach, choć są ciekawe, jednak trzeba przekazać to co najciekawsze i warte zapamiętania. Mimo przeszkód i zimna młodzież zbierała się w remizie. Próbuje wejść do nowo wybudowanej szkoły. Niewiele możemy zrobić, nie udaje się przekonać kierownika, aby nam ułatwił spotkania w szkole. Pracujemy dalej w remizie. Postanawiamy powtórzyć już dawno graną „Chatę za Wsią”, ponieważ obsada jest duża i młodzież z zadowoleniem przyjmuje rolę. Zaczynamy próby, chociaż czasem po ciężkiej pracy w polu już mi się nie chciało ruszyć z miejsca. Jednak po umyciu się z kurzu szedłem na próbę, aby być z młodzieżą. Nikt z młodzieży czy starszych nie zdawał sobie sprawy, ile satysfakcji dawała mi ta praca. A towarzyszyła mi świadomość, że trzeba było naszą kulturę ratować. Ileż radości i śmiechów budziły rolę, których chętnie i szybko się uczo- no. Na początku lata sztuka była gotowa do grania. Naradzaliśmy się, jakie stroje wykombinować samemu, a jakie wypożyczyć, jak ma wyglądać dekoracja sceny i inne drobniejsze sprawy związane z przedstawieniem. Kiedy wszystko było „dograne”, nastąpiły przygotowania do premiery. Potrzebny był chleb, więc jeden z kolegów, bo tak wszystkich traktowałem, poprosił swoją mamę, która wypiekała chleb, aby ten do przedstawienia był ładny i duży. Taki też chlebek przyniósł na premierę. Przyjechali goście z Miejskiego Domu Kultury z Bełżyc ze znajomymi, z którymi grałem

w Teatrze Ziemi Bełżyckiej. Kiedy trzeba było wносить chleb na stół, konsternacja, chleba prawie nie było, a zapach rozniósł się po scenie i całej remizie, ponieważ chlebek „rozdrapano” i spożyto jak bułeczkę. Kolega zdążył odebrać resztki, pokroił i tymi resztkami musiał się zadowolić. Piękny, duży wyrośnięty chleb został spożyty przed czasem. Niewiele pomogły moje uwagi, bo i goście z Bełżyc zjadali się równo ze wszystkimi. Nauczyłem suflować kilka osób, ponieważ sam często grałem w sztuce. Tak było i teraz. Grałem głupiego Janka. Kiedy Matruna weszła na scenę i mdlała, ja miałem ją podtrzymywać, jednak wysnęła mi się z rąk i upadła na podłogę. Zrobiłem kilka żalonych ruchów z płaczem włącznie, czego nie było w planie, podniosłem ją z podłogi, pogłaskałem po głowie, za sceną rozległ się cichy śmiech, ci na scenie omal nie „parsknęli” śmiechem. W każdym razie widownia myślała, że tak było trzeba. Po zakończeniu niesamowite brawa, podziękowania widzów za nasz wysiłek, co sprawiło nam wielką radość i podniosło chęć do pracy. Goście, na czele z dyrektorką Miejskiego Domu Kultury, też nie szczędzili słów pochwał.

Postanawiamy jechać w teren. Przygotowaliśmy przyczepę robiąc wyższe burty, ławki, i tak odwiedziliśmy kilka miejscowości: Wojciechów, Strzeszkowice, Niedrzwicę, Wierzchowiska. Warto opisać powrót z Wieszchowisk. Dojechaliśmy do Bełżyc, a tu zatrzymuje nas grupka cywilów. Nadepnąłem hamulec, ponieważ omal nie wpadli mi pod ciągnik. Zgasilem i schodzę pytając, o co chodzi? Widzę, że zaczynają kopać ciągnik, że są pod wpływem alkoholu, a do tego znam ich dobrze i wiem, że należą do ORMO. Więc delikatnie pytam, o co chodzi, proszę, żeby zeszli z szosy. Chłopcy z przyczepy pytają, czy mają zejść z kijami – to byli ci, którzy grali cyganów – i spuścić im „manto”, by usunąć z drogi. Nie pozwoliłem na to. Wtedy jednemu z nich mózg zaczął parować, poznał mnie i zaczął odciągać pozostałych. Dałem im na wino i odeszli do knajpy. Na drugi dzień diabeł mnie chyba skusił, aby pójść na skargę i zrobić im kolegium. Jednak nie przypuszczałem, że to może obrócić się przeciwko mnie. Obywatel posterunkowy zapytał mnie, czy miałem zezwolenie na przejazd z ludźmi, czy miałem zezwolenie na wystawienie sztuki w tej miejscowości, czy nie za dużo było osób na przyczepie. Zro-

biło mi się gorąco i zacząłem żałować, że wymieniłem ormowców. Stuliłem uszy, wysłuchałem wskazówek od obywatela władzy, przytaknąłem, że ma rację i czekałem, aż sporządzi wniosek na kolegium, ale przeciwko mnie. – My wszystko wiemy, że jesteście radnym, że działacie z młodzieżą, choć do tej działalności miałbym wiele zastrzeżeń, ale to sprawa wyższej władzy. Powiedziałem „do wiedzenia” i wyszedłem spocony, jakbym przebiegł kilka kilometrów. Opowiedziałem młodzieży jakie popełniłem głupstwo. Trzeba wszystko najpierw przemyśleć zanim podejmie się jakąś decyzję. Tak zakończyła się historia naszego wyjazdu w teren. Mimo wszystko, robiliśmy swoje.

Młodzież nie wszystko musiała wiedzieć o trudnościach, jakie napotykałem w pracy kulturalnej. Zgromadziliśmy sporo pieniędzy, więc zrobiliśmy zebranie, na jaki cel je przeznaczyć. Przy tej okazji przyszykowano kolację, która była nagrodą za nasz wysiłek. Zaproponowałem wycieczkę do teatru. Nie było żadnego sprzeciwu. Trzeba znów załatwić samochód i wszystkiego dopilnować. Połączyliśmy przyjemne z pożytecznym. Ponieważ zostawało sporo grosza, ustaliliśmy, że zakupimy do kościoła żyrandol. Pojechaliśmy do Lublina aby znaleźć wykonawcę. Na ulicy 3 Maja znaleźliśmy zakład pana Huszczy. Zakładzik niewielki, ale bardzo przyjemny właściciel, tylko z niedowierzaniem przyjmował zamówienie od dwóch młodych mężczyzn. Wreszcie dogadaliśmy się, ustaliliśmy cenę, przedstawił nam projekt żyrandola, na który wyraziliśmy zgodę. Zostawiliśmy zadatek i do domu. W tym czasie pracowaliśmy nad naszą sztuką, jak również nad Misterium Męki Pańskiej. Chłopcy ścięli na cmentarzu brzozę, zrobili składaną scenę pospawaną z kątownika jako podstawę, wszystko zaplanowane było również na wyjazdy w teren. Po sztuce świeckiej przyszła kolej na przedstawienie Misterium Męki Pańskiej. Zima była wczesna, zanosilo się na tęgą i śnieżną zimę. Nieocenieni byli młodzi chłopcy i dziewczęta, którzy w śniegu po pas brnęli ponad 2 kilometry przez pola. Czasem przychodzili jak bałwany. Ale chęć do pracy w zespole dodawała im siły. Również ponad

2 kilometry do przejścia mieli z końca wsi Wojcieszyn, ale to już drogą. Niektórzy ze starszych mówili: to zwariowana młodzież, ale to dobrze! Próby odbywały się często, również w kościele, aby przedstawienie wypadło jak najlepiej. Przyszedł czas na finał. Zaraz na początku postu zagraliśmy u siebie w kościele. Złożona scena, kurtyna, wszystko wyglądało imponująco. Próba generalna w sobotni wieczór wypadła bardzo dobrze. Wszyscy czekali niedzieli. Samorodni, ale bardzo zdolni chłopcy elektrycy wykonali światła, jak również iluminacje grzmotów, wiatru i burzy. Ja grałem Judasza. Niemal cała parafia stawiała się na przedstawienie. Z innych parafii również przyjechali widzowie. Kościół, jak zawsze, „pękał w szwach”. Kiedy zaczęło się przedstawienie, do kościoła wszedł w towarzystwie znajomego kolegi podejrzany osobnik. Oświadczyłem proboszczowi, iż mamy obstawę i możemy grać śmiało! Proboszcz zaczerwienił się, potem uśmiechnął, potem powiedział parę słów, dziękując wszystkim za przybycie i zainteresowanie się tak wartościowym wydarzeniem religijnym. – Są i tacy, którzy przybyli w specjalnej misji, myślę, że Pan Bóg oświeci im umysły i przystaną do wszystkich przybyłych. Organista zaintonował pieśń „W Krzyżu Cierpienie” i rozpoczęło się... Wszyscy grali jak w transie, w kościele cisza jak „makiem zasiał” tylko oddechy widzów zagłuszały spektakl. Po każdym akcie oklaski. Po zakończeniu, jedynie dzieci miały przestraszone miny od błysków i grzmotów, kobiety natomiast wycierały oczy. Rozległa się burza oklasków. Jeszcze przed zakończeniem dwaj osobnicy wyszli. Przykro tylko było patrzeć, że jeden z nich to parafianin. Kiedy wszyscy zbierali zasłużone brawa, proboszcz oznajmił mi: „Nie przejmuj się, co będzie to będzie, ale wykonaliśmy wielką robotę”. Dwa razy wykonawcy musieli zjawić się na scenie. Ksiądz proboszcz podziękował wykonawcom przedstawienia i raz jeszcze publiczności, zachęcając, aby zachowali w sercach to co działo się na Golgocie. Był to początek rekolekcji. Potem postanowiliśmy odwiedzić inne parafie.

Po naradzie z zespołem postanawiamy odwiedzić z przedstawieniem parafię Chodel. Przygotowujemy ciągnik, na którym umieszczamy scenę i inne rekwizyty, a my samochodami ruszamy w drogę. Tydzień wcześniej uzgodniłem z proboszczem ogłoszenie z ambony i za tydzień ryzykujemy wyjazd do Hodla. Sprawił nam niebywałą satysfakcję. Zabytkowa świątynia zapełniła się po brzegi. Publiczność owacyjnie przyjęła naszą obecność. Potem poczęstunek herbatą i kanapkami i powrót do domu. Tak odwiedziliśmy jeszcze kilka parafii. Cała ta „karawana” przyjmowana była z ciekawością, a występ dawał widzom nieocenione przeżycie. Będąc w Lublinie, odwiedziłem bibliotekę w kurii, aby wyszukać ciekawe materiały do zajęć z zespołem. Przed budynkiem stał bp. Pylak z trzema innymi księżmi. Ukłoniłem się nisko, aby przywitać stojących, udając się do budynku kurii. Ks. biskup szybko podszedł do mnie, choć dzieliła nas spora odległość, uściśnął mi rękę i złożył mi gratulacje za poczynania w dziedzinie kultury sakralnej. „Miło mi, że to dzieje się w Matczyni, będę pana pamiętał”. Takiego przywitania się nie spodziewałem, jak również spotkania z taką osobą. Podziękowałem jak umiałem, podszedłem razem z arcybiskupem do stojących opodal księży w rewanżu za gest wobec mojej skromnej osoby. Przedstawił mnie księżom opowiadając, czym się zajmuję w parafii. Ukłoniłem się, odszedłem spocony, ponieważ pierwszy raz coś takiego mi się zdarzyło. Na spotkaniu z młodzieżą przekazałem gratulacje. Nie mogli uwierzyć w tę bardzo miłą nowinę. Był to nowy impuls do dalszej pracy w dziedzinie kultury sakralnej.

Cieszyliśmy się z każdego występu. Aż tu, jak grom z jasnego nieba, dowiaduję się w niedzielę od proboszcza, że ma wezwanie na kolegium za zorganizowanie bez zezwolenia przedstawienia w kościele. – Nie darmo ORMÓ odwiedziło nasz występ – powiedziałem proboszczowi. – Nie przejmuj się, jak cię nie wezwą to się nie pokazuj, bo cię odtrąca od młodzieży i będą cię

prześladować na każdym kroku. Ja sam postaram się obronić. Za świadka podano akurat mojego kuzyna z parafii Bełżyckiej z Podola, Stanisława Wójtowicza. Ks. proboszcz zażądał świadka, który oświadczył, że było to nabożeństwo, a nie przedstawienie. W kościele na takie rzeczy zezwolenia nie trzeba. Jednak świadka oskarżyciela nie przedstawiono, ponieważ ujawniłby się parafianin, o którym już dużo wiedzieliśmy. Zastępował go milicjant. Kiedy oskarżał księdza, nie wiedział jak się do duchownego zwracać i nie wiedział, jaki był tytuł nielegalnego przedstawienia. Istny „cyrk”. Ks. proboszcz zagadnął go, że nie widział go w kościele, to jak może oskarżać i zmyślać niebywałe rzeczy. Wyproszono proboszcza, a wezwano świadka, z którym wcześniej uzgodniliśmy, co ma mówić. Kolegium prowadziła ruda sędzina, wredna socjalistyczna postać. – Wy byliście na przedstawieniu w kościele w Matczyni? – spytała podniesionym głosem, aby jednocześnie przestraszyć świadka. – Pani złota, a skąd pani wie że ja tam byłem? – zagadnął świadek. Obywatela milicjanta nie widziałem, a że byłem to co? Na nabożeństwo mogę chodzić, gdzie chcę. Pani złota, bo ruda, omal nie wyszła z siebie. – Proszę mi mówić, wysokie kolegium! – wrzasnęła piskliwym głosem. – Wszystko mi jedno, czy ono jest niskie czy wysokie, to niech będzie. – odpowiedział z półśmieszkim świadek. Ale tam była scena, kurtyna, to tak jak w teatrze! – Czego się wysokie kolegium drze – ja mam dobry słuch, odrzekł ze spokojem ów świadek. – To wysokie kolegium nie chodzi do kościoła? – przecie to Wielkanoc! To był grób Chrystusa przysłonięty kotarą, a nie jakąś tam kurtyną. – Ale sprzedawano bilety! – wrzeszczało rude kolegium. – To nieprawda, proszę wysokiego czy niskiego bo już nie pamiętam, kolegium, nikt biletów nie sprzedawał. Kto chciał dać na tacę jak zawsze na nabożeństwie, to przy wyjściu złożył ofiarę, kto pani „napłóć” o biletach? – Proszę mówić wysokie kolegium! Zwraçałam już wam uwagę! – Ano tak! Proszę wysokiego kolegium – odrzekł ze śmiechem. Towarzyszka sędzina omal ze złości nie wyszła z siebie i nie stanęła obok. – Ale byli poprzebierani i malowani! Co to ma oznaczać! – wrzasnęła na świadka. Ten z wielkim spokojem odrzekł: – To wysokie kolegium nie wie, w jakich ubiorach byli ci mordercy, którzy ukrzyżowali Chrystusa? A pani jest umalowana, to co? Nie wiedziała co powiedzieć, trzęsła się

ze złości, policjant siedział jak „trusia” aż pani sędzina wrzasnęła: – A wy ile daliście za bilet!? – Ja biletu nie kupowałem, bo nie sprzedawały, a dałem sto złotych bo było takie nabożeństwo, warto obejrzeć, przypomniały się ludziom rozmaite mordy na ludziach... i tu przygryzł sobie język. – Za dużo by już powiedział. Z wielką furią wyprowadzono świadka z sali. Ks. proboszcz nie czekał na wyrok, świadek wrócił domu. Wysokie kolegium naradziło się z sekretarzem partii PZPR i zapadł wyrok ośmiuset złotych z kosztami. W następną niedzielę powtórzyliśmy spektakl, ksiądz ogłosił jaki dostał wyrok, a ludzie zrewanżowali się hojniejszymi ofiarami. Dzięki temu ksiądz zapłacił kolegium i kupił ornat, a zespół dalej robił swoje.

Pojechałem do Lublina aby dowiedzieć się, czy żyrandol jest gotowy. W tym czasie przygotowywaliśmy premierę następnej sztuki i jasełka. Jesień była piękna, pogoda dopisywała, dlatego przyjazd do Lublina stał się przyjemny, tym bardziej, że sprawa zamówionego żyrandola stawała się coraz ciekawsza. Kiedy wszedłem na dół po schodach i otworzyłem drzwi, stanąłem jak wryty. U sufitu wisiał gotowy, pięknie wykonany, oczekiwany przez młodzież żyrandol. Rozmowa była krótka – już można zabierać. Okazało się, że zaproponowana cena okazała się niższa, co bardzo mnie ucieszyło i świadczyło o solidności wykonawcy. Umówiliśmy się w odpowiednim dniu, ponieważ sam nie mogłem podołać, by go zabrać i przewieźć. W umówionym dniu stawił się z jednym z członków zespołu, Janem Bednarczykiem z Zosina. Nie mieliśmy jednak odpowiedniego pojazdu. Co robić? Pobiegłem na Podzamcze, gdzie zwykle stały dwie czy trzy półciągarówki. Stała tylko jedna, a kiedy zamówiliśmy przewóz żyrandola, kierowca wystawił nam cenę, na którą nie było nas stać, a i chęci do jazdy nie wykazywał. Może dlatego zażądał takiej ceny. Wróciłem z powrotem do zakładu. Wyszliśmy na ulicę i rozglądaliśmy się, właściwie nie wiadomo za czym. Dojrzałem stojący opodal ciężarowy Lublinek okryty plandeką. Podeszedłem bliżej, kierowcy nie było. Poczekaliśmy chwilę, zjawił się kierowca.

„Cześć Józek!” przywitałem znajomego, który Lublinkiem jeździł w zaopatrzeniu Komitetu Wojewódzkiego PZPR. – Józek! Mam do ciebie sprawę. – Co znowu! Jaka? – spytał znajomy. – Przewieź nam żyrandol, mykniemy raz dwa nikt nie będzie wiedział... – Czyś ty zwariował, czy upadłeś na głowę? Zaraz by mnie wylali z roboty, gdyby nas złapała kontrola milicji. Chyba, że się postarasz o zezwolenie na przejazd od szefa ZMW. – Spróbuję – odrzekłem. Kolega nie chciał pójść do komitetu, tam znajdował się Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Wiejskiej. Poszedłem sam. Ponieważ byłem członkiem zarządu, znał się na rzeczy z jego przewodniczącym. Mimo że miał lewicowe poglądy, lubił mnie i zawsze mi powtarzał, że mam „niewyparzoną gębę” i to mnie może kiedyś drogo kosztować. – Ale na prawdę bardzo cię szanuję – powtarzał zawsze. Zgłosiłem się do niego do gabinetu, przebrnąłem wszelkie przeszkody jakie temu towarzyszyły. – Co cię sprowadza, ciekawi mnie ta nieumówiona wizyta. Kiedy przedstawiłem mu, o co chodzi wyjaśniając jednocześnie, że żyrandol jest do kościoła, zmarszczył czoło, spojrzał na mnie i szczerze się roześmiał. – Takiego klienta się nie spodziewałem – i znów się roześmiał – masz tupet! Nastąpiła chwila ciszy, aż wreszcie powiedział: – Słuchaj... za Twoją otwartość dam ci zezwolenie, jako że to żyrandol do świetlicy. Napisał osobiście pisemko, które zawsze wypisywała sekretarka... i kazał przypieczętować jeszcze przez wydział kultury, który jako zwierzchnik nad wojewódzkim znajdował się w komitecie. Przyłożył palce do ust, a ja zrozumiałem o co chodzi. Podziękowałem i wyszedłem do Wydziału Kultury KW PZPR w Lublinie. Kierownikiem był również członek zarządu. Przedstawiłem mu pisemko z poleceniem od „szefa” przystawienia pieczątki i podpisu. Przeczytał uważnie, a jękał się trochę, więc wykrztusił niby żartem – Może ty żyrandol wiesz do kościoła, co? – Tak jest towarzyszu kierowniku! – powiedziałem z żartobliwą miną. Roześmiał się po uszy – Gdybyś wiozł do kościoła, na pewno byś mi tego nie powiedział a i przewóz byłby załatwiony negatywnie. Przede wszystkim byś tu nie przyszedł. Przybił pieczętkę, podpisał. Podziękowałem mu oświadczając, że jak będzie jechał do Bełżyc, niech wstąpi do kościoła i zobaczy, co młodzież zakupiła. Roześmiał się jeszcze raz i moje gadanie upewniło go, że żyrandol zawiśnie

w świetlicy. Kiedy przyszedłem do zakładu, kolega z kierowcą nie mogli doczekać się wyniku sprawy. Kiedy Józek zobaczył pozwolenie, zaniemówił, aż wreszcie ze śmiechem powiedział: – Prędzej bym się spodziewał, że zajdę w ciążę, niż załatwienia takiej sprawy, do roboty! Cofnął samochodem i zabraliśmy się za wynoszenie żyrandola, z małymi kłopotami, bo nie mieścił się w drzwi. Włożyliśmy na samochód, uwiązali u pałaków w górze i po bokach i ruszyliśmy w drogę. Całą drogę musieliśmy go przytrzymywać, aby się sznurki nie urwały, co przed samym Motyczem, przy hamowaniu w końcu się stało, sznurek z boku się urwał i żyrandol uderzył w pałąk boczny. Na szczęście, wybił się jedynie maleńki dołek, który do dziś stanowi pamiątkę tej podróży. Szybko rozładowaliśmy oczekiwany zakup, pożegnaliśmy się z kierowcą, przykładając palce do ust, co oznaczało zamknięcie buzi i nie robienie rozgłosu. Kiedy księdzu proboszczowi oznajmiliśmy, czym przyjechał żyrandol, odparł z żartem – Odrobili nam kolegium, ale masz „zagrania”? Uśmieł się i jednocześnie potwierdził, że mam zaufanie, widział jak przykładaliśmy palce do ust. Tak żyrandol przejechał się samochodem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Lublinie. W najbliższą niedzielę odbyło się uroczyste poświęcenie z podziękowaniami dla młodzieży. Każde wejście do kościoła przypomina dzisiaj działalność młodzieży i starszych, o czym napiszę dalej.

Uczestnicząc w Zarządzie Wojewódzkim Towarzystwa Kultury Teatralnej spotykałem się przy różnych okazjach ze znajomymi. Na uroczystości „Bliżej teatru” spotkałem znajomych z Sulowa. Nasz zespół był często nagradzany, a wówczas przedstawienie sakralne zostało tak dobrze przyjęte, że sulowianie zaprosili nas do siebie. Zaproszenie przyjąłem z satysfakcją, obawiając się czy ktoś nie doniesie i nie będziemy mieli znów nieprzyjemności. – Spokojna głowa! – przyjeżdżajcie śmiało! Wynajęłem autobus, w niedzielę po sumie ładujemy rekwizyty i wyjeżdżamy. Kiedy dojechaliśmy, remiza już była otwarta. Zaproponowano nam herbatę i ciasteczka. Bardzo mile przyjęto zespół, co pamiętać bę-

dziemy bardzo długo. Scena niewielka, sala średniej wielkości. Ponieważ znaleźliśmy się dobrze, postanawiamy nie sprzedawać biletów. Dajemy darmowe przedstawienie. Występ miał odbyć się o godzinie 16.00. Wszyscy gotowi do występu, na sali ktoś ze straży, kilkoro dzieci, do występu niecałe pół godziny. Miny nam zrzedły, spoglądamy na siebie i nie wiemy co robić. Zauważył to nasz znajomy – nie martwcie się, jeszcze nie pomieścimy ludzi! Tak też się stało. Spojrzałem w okno, a tu na drodze przez łąki jakimiś ścieżkami podążali ludzie. Dziesięć minut przed występem nie było gdzie włożyć przysłowiowego palca. Przed sceną dzieciaki jak ptaszki z zaczerwienionymi buziami. Obawialiśmy się, że będą przeszkadzać, jak to dzieci. Przed występem powiedziałem kilka słów na powitanie, podziękowałem za zaproszenie, jednocześnie zwróciłem się do dzieci, wyrażając nadzieję, że nie będą przeszkadzać. Rzeczywiście, przez cały czas trwania spektaklu były cichutko, słychać tylko było szlochanie starszych osób, co udzieliło się i starszym dzieciom. Po zakończeniu i podziękowaniu za miłe przyjęcie i burzliwe oklaski, ktoś z sali krzyknął – proszę o zebranie przyniesionych pieniędzy! – Cała sala poparła ten głos. – Nie wypuścimy was! Diabeł i jeden z Żołnierzy wzięli do ręki hełmy i przeciskali się między ludźmi, idąc nawet po ramionach obecnych mężczyzn. Jeden ze starszych panów położył pięćset złotych. Chłopcy zapytali pół żartem, pół serio – ile wydać? – Bierzcie wszystko, ja takiego czegoś jak żyję nie widziałem i już nie zobaczę. Szczęść wam Boże! Dwa pełne hełmy trafiły do naszej kasy. Wracając zajechaliśmy do Bychawy, gdzie byliśmy umówieni przed wieczorem. Tu nie było w kościele dużo ludzi, a może nam się tylko tak zdawało, biorąc po uwagę wielkość remizy i świątyni. Po występie ks. proboszcz serdecznie nam podziękował, mu proboszczowi, wówczas z chóru posypały się pytania. Kto prowadzi zespół, ile się uczymy, czy sprawia nam to przyjemność, czy tylko dla zabicia czasu itd. Co mogłem, odpowiedziałem, pożegnałem publiczność i zaczęliśmy pakować się do autobusu. Podszedł do nas proboszcz i wręczył nam pewną sumę pieniędzy zaznaczając, że to na opłatę autokaru. Wróciliśmy późnym wieczorem i zadowoleni rozeszliśmy się do domów.

Działalność nasza, mimo przeszkód, rozwijała się co raz lepiej. Już przyzwyczailiśmy się do wszelkich donosów, „wtyczek”, przeszkadzania nam przez „towarzyszy” ze straży. Robiliśmy swoje. Co roku grana była sztuka świecka, potem przygotowaliśmy jasełka lub jakieś inne imprezy w kościele. Czas szybko biegł; z czasem, jak było trzeba, do młodzieży dołączali starsi. Przy okazji pragnę zauważyć, że spośród młodzieży biorącej udział w imprezach, pobrały się dwie pary, które były i są jeszcze przykładem dla innych. Mimo pracy w domu, w polu, z satysfakcją pomagałem innym. Uczestniczyłem w organizowaniu przedstawień w Podolu i w Stasinie, ponieważ tam również pobudowali remizy. Młodzież była zafascynowana swoją pracą, a ja byłem zadowolony, że mogę w czymś pomóc. Utkwiło mi w pamięci, jak ze Stasina strażackim „fordem”, przystosowanym do potrzeb straży, przywożono mnie na próby. Był to samochód odkryty, dlatego przyjeżdżaliśmy czasem zmoknięci, zmęczeni, ale było wesoło i przyjemnie. Czasem miałem wszystkiego dosyć, ale przychodził czas prób i mijało wszystko, znowu jechało się do młodzieży. Tego nie można zapomnieć. Czasem były dni gorsze, ale tych lepszych było najwięcej. Pamiętam jak młodzi mieli się pocałować – to było nie do pokonania, zostawiałem ich we dwoje, aby inni się nie śmiali. Przetrzyzymałem ich nieraz do dwunastej, i kiedy się im uprzykrzyło namawianie – jak strzał padał pocałunek i rozchodzili się do domu. Ile było śmiechu, rozmaitych „przytyków”, ale wreszcie dopiąłem swego. Tak im to zasmakowało, że w niedługim czasie zawarli związek małżeński. Tak się czasem kończyły spotkania kulturalne tworzone w grupie, która wiedziała, jaką wartość przynosi taka praca.

Z nowym proboszczem, ks. Tadeuszem Szyprowskim praca układała się bardzo dobrze. Był dla mnie przykładem człowieka – kapłana, który mimo szykan, stał się dla mnie moralną ostoją. Wyróżniał się wielką odpowiedzialnością w sprawowaniu misji

kapłana, również odwagą, co dodawało mi sił w poczynaniach kulturalnych. Rozumieliśmy się bez słów. Lżej było kierować moją pracą wujkowi Janowi Majowi, o którym już wcześniej wspominałem. Stała się jednak rzecz nieoczekiwana, która musiała wpłynąć na nasze poczucie zagrożenia. UB aresztowało ciotkę Bronisławę, nauczycielkę. Było to we wrześniu 1953 roku, wujka zwolniono z pracy, a jedyne go syna, asystenta na Uniwersytecie Warszawskim, najprawdopodobniej utopili oprawcy z UB w Wiśle, obrabowali przy tym doszczętnie ze wszystkiego. 7 stycznia 1954 roku odbyła się rozprawa, oczywiście sfingowana, na której zapadł wyrok dziesięciu lat, nie wiadomo dokładnie za co. Ciotkę wypuszczono z więzienia po czterech latach na wózek inwalidzkim, ponieważ jako krnąbrna więźniarka co drugi dzień siedziała po szyję w wodzie w podziemnym karcerze. Była sparaliżowana i do końca życia nie odzyskała zdrowia. Napisałem to dlatego, żeby młodzi wiedzieli, jak traktowano niewinnych ludzi za odmienne przekonania i patriotyzm. Po jakimś czasie zacząłem pracować z młodzieżą normalnie, a nawet z większym niż dotąd zaangażowaniem. Wujek i ks. Tadeusz Szyrowski byli jak gdyby motorem napędzającym siły do pracy, podsycali moją zawziętość przeciw bezprawiu. Przypatrywałem się nierównej walce mądrych i wykształconych z głupcami, „manekinami” żądnymi władzy, służącymi moskiewskiemu zaborcy, którzy awansowali kosztem aresztowań i egzekucji wykonywanych na własnym narodzie. Nie mogłem sobie wytłumaczyć, dlaczego ci wykształceni ludzie pracują z „motłochem”. Dopiero jeden ze znajomych partyjniaków, choć mnie nie przekonał do końca, powiedział, że gdybyśmy nie „my”, ginęłoby więcej ludzi, a w państwie byłaby większa „nędza”, choć i tak nie jest dobrze. – Zobacz, głupcy idą w górę, a my zostajemy na dole. Nie chciało mi się to pomieścić w głowie. Mimo to, dalej robiliśmy swoje. Naszym zadaniem było ratować naszą narodową kulturę, wartości nadrzędne, zwyczaje ojców. Dzięki zaangażowaniu wielu młodych i starszych, praca nasza przynosiła efekty.

Po głowie chodziła mi bez przerwy myśl, że sąsiednie strażnice mają samochody, a u nas w Matczynie nie ma. Aż wreszcie na posiedzeniu komisji gospodarczej przy radzie powiatowej, w której uczestniczyłem, oświadczone, że Bełżyce otrzymały wóz bojowy, a do dyspozycji jest ciężarowy „Lublin”. Przewodniczący komisji oświadczył nam, że komisja ma rozstrzygnąć o przydziale samochodu. Pod uwagę wzięto Matczyn i Wzgórze. Trzeba było działać. Wiedziałem, że Wzgórze nie bardzo lubi się z Krężnicą. Udało mi się namówić radnego z Krężnicy, jak również z Chmielnika, aby zagłosowali na Matczyn. Po głosowaniu okazało się, że moje działania przyniosły skutek, Matczyn wybrano przewagą dwóch głosów. W 1965 roku Matczyn otrzymał wymarzony samochód. Zostałem jego kierowcą, obok Stanisława Dankiewicza. Po tylu latach, po raz pierwszy przyznaję się, jakim sposobem Matczyn otrzymał samochód. Zaraz po przydziale chwalili się sukcesem członkowie PZPR – prezes i inni, którzy nie mieli z tym nic wspólnego. Mnie nawet nie warto było się do tego przyznawać, bo i tak by nie uwierzono. Liczyłem na to, że czasem będziemy mogli skorzystać z podwiezienia zespołu w teren, co nigdy nie nastąpiło. Jeżeli było trzeba, zespół wynajmował autokar. To robiło odpowiednie wrażenie na członkach partii i donosicielach. Znowu zaczęły się donosy i wezwania przed oblicze władzy ludowej.

Po odejściu proboszcza księdza kanonika Tadeusza Szyrowskiego, jakbym trochę przyhamował z pracą. Zżyliśmy się bardzo, wiedziałem, co możemy robić, a kiedy należy być ostrożnym. Przede wszystkim praca, zgodnie z nakazami patriotyzmu, była dla mnie czymś bardzo ważnym. Ksiądz Tadeusz był członkiem AK, a po rzekomym wyzwoleniu obrońcą Ojczyzny i Narodu, za co był wielokrotnie przez ludową władzę szykanowany. Bardzo mi go brakowało, jednak trzeba było się otrząsnąć i robić swoje. Nowy proboszcz życzliwie podszedł do naszych poczynąń

i mimo iż sam był wykładowcą w seminarium, z szacunkiem akceptował nasze poczynania. Niejednokrotnie dziwił się, rozmawiając ze mną, że na wsi młodzież ma taką pasję do działania. Zacząłem do pracy włączać dzieci szkolne. Był to materiał jak plastelina. Życzliwość rodziców dodawała mi sił do pracy, mimo iż ormowcy i niektórzy nauczyciele, członkowie PZPR, niechętnie patrzyli na zaangażowanie szkolnych dzieci. Nie były to okazje częste. Myślałem, że dzięki temu wejdziemy do obszerniejszych i cieplejszych pomieszczeń szkolnych. Ponieważ syn mój zaczął uczęszczać do szkoły, należałem do trójki klasowej. Na jednym z zebrań kierowniczką narzekala, że palenie w piecach nie wystarcza, a w szkole jest zimno. Pomyślałem, że spróbuję tę sprawę załatwić. Nikt się z komitetu nie angażował, bo trzeba było dołożyć swoich pieniędzy i czasu. Przy tym miałem nadzieję, że i zespół na tym skorzysta. Wziąłem się natychmiast do pracy. Dokumentacja była przedawniona, trudności piętrzyły się coraz większe. Udałem się do prezesa Zarządu Wojewódzkiego PSL, ówczesnego ZSL, Stanisława Rapy. Dzięki jego pomocy i mojej zawziętości, do zimy centralne ogrzewanie działało. Nikt mi za to nie podziękował, ale byłem zadowolony, że dopiąłem swego. Partyjni nauczyciele z kierowniczką włącznie szczylicili się, jak to załatwili przedawnioną dokumentację i centralne. Do szkoły nie pozwolono nam wejść, ponieważ poczynania Sieńki groziły wielką kolizją z wychowaniem socjalistycznym. Tak się wyrażono, kiedy zwróciłem się z prośbą o zgodę na korzystanie z pomieszczeń szkolnych. Byłem jednak zadowolony, że dzieci mają ciepło. Piszę o tym dlatego, aby uświadomić starszemu i młodszemu pokoleniu, jak traktowano ludzi o innych poglądach i po ich plecach zdobywano partyjne „szlify”.

Nadal pracowaliśmy w zimnej remizie, choć już wstawiliśmy piecyk. Jednak śniło nam się ciepłe pomieszczenie. Nowy proboszcz proponował nam spotkania na plebanii. Jednak nasze spotkania odbywały się do późnych godzin nocnych, nie chcieliśmy proboszczowi przeszkadzać. W straży przejmowali władzę

ludzie partyjni, zmieniono nawet kierowców. Nasza praca zaczęła być kontrolowana i obserwowana przez w/w „oszołomów”, a przede wszystkim przez wyrastających jak grzyby po deszczu ormowców, którzy mieli za zadanie donoszenie o wszystkim, co się działo. Za judaszowe grosze, taki smarkacz sprzedałby ojca i matkę. Jeden z nich pewnego razu zgubił dokumenty. Znalazł je mój szwagier. Kiedy je oddawał w obecności świadka, aby nie być posądzonym o nieuczciwość, okazało się, że było tam osiem różnych legitymacji, oczywiście związanych z władzami PZPR i współpracą z innymi organami nacisku. Byliśmy coraz ostrożniejsi. Przenieśliśmy się do wolnych pomieszczeń w budynku, który zamieszkiwali kościelny i organista, potem była tam sala katechetyczna. Coraz częściej byłem wzywany do „uświadczenia”, jak należy zachowywać się w ustroju socjalistycznym. Działo to na mnie jak czerwona płachta na byka, ale cóż, trzeba było zacisnąć zęby i robić swoje.

W latach siedemdziesiątych nastąpiła „odwilż”. Wykorzystaliśmy ją w Towarzystwie Kultury Teatralnej w Lublinie natychmiast. Stworzyliśmy przeglądy zespołów ludowych, w rozmaitych strukturach, niejednokrotnie już zapomnianych. Przeglądy zaczęły się od Nałęczowa, potem był Krasnystaw, Łęczna itd. Włączyliśmy do tego wszelkiego rodzaju obrzędy, a także jasełka, misteria o tematyce religijnej. Mieliśmy z naszym zespołem pole do popisu. Niemal co roku gościliśmy w Nałęczowie, Krasnymstawie, Łęcznej, Bełżycach i gdzie się tylko dało. Zdobywaliśmy nagrody pieniężne, które zbieraliśmy na potrzeby kościoła i na wycieczki. Młodzież postanowiła zakupić stacje drogi krzyżowej, ponieważ te przeniesione ze starej świątyni były podniszczone. Tak się złożyło, że do proboszcza przyjechał zaprzyjaźniony ksiądz z okolic Olsztyna i polecił znajomego rzeźbiarza z Paślęka. Po powrocie do swojej parafii skontaktował się z tym panem, dał nam odpowiedź, że możemy jechać i drogę krzyżową zamówić. Po naradzie uznaliśmy, że nie mamy tyle pieniędzy. Zdawaliśmy sobie sprawę, ile może kosztować czternaście stacji. Mieliśmy pięćdziesiąt

jeden tysięcy złotych. Objędziłem z kolegami okolicznych rzeźbiarzy, cena i wykonanie nie bardzo nam odpowiadały. Uradziłem, że jedziemy do Pasłęka, co będzie, to będzie. Na zadatek nam starczy, a przez czas wykonania zbieramy resztę gotówki, może znajdziemy sponsora lub dołożą parafianie. Jedziemy, ja i jeden z naszych skarbników, Jan Niezbecki. Było to pod koniec lata. Przyjeżdżamy do Pasłęka, odnajdujemy pana Sienkiewicza, potomka naszego wieszczą, więźnia sowieckich łagrów. Dogałaliśmy się szybko i ten schorowany człowiek wyraził zgodę na wykonanie obrazów. Uszy nam szczerwieniały, ledwo wydusiłem pytanie, ile to będzie kosztować i czekamy odpowiedzi. Zapytał tylko, kto to funduje. Kiedy dowiedział się, że młodzież grająca na tan cel w teatrze, starsi i dzieci, uśmiechnął się, a na twarzy widać było zdziwienie; dlaczego – nie wiem do dzisiaj. Powtórzył tylko trzy słowa: młodzież, starsi i dzieci. – Ile macie pieniędzy? – No! Na zadatek mamy, pięćdziesiąt jeden tysięcy w polskich złotych – odpowiedziałem. – Nim pan wykona, my dopracujemy resztę. Znow się uśmiechnął i powiedział: – Zostawcie sobie tysiąc złotych na przewóz, a resztę, jak chcecie to mi zostawcie. Dwa razy zapytaliśmy czy się nie pomylił. – Nie pomyliłem się, zrobię wam takie prace, że nie ma na pewno nie ma takich w całej waszej okolicy, a to dlatego, że nie słyszałem żeby młodzież i dzieci zbierały na taki cel, nie wspomnę o starszych, bo ci... Nasz skarbnik wyjął pieniądze, odliczył pięćdziesiąt tysięcy, położył na stół. W tym czasie jego dziewięćdziesięcioletnia matka, szczuplutka, ale pełna życia kobieta, podała obiad. Zapropozował nocleg, ale wieczorem mieliśmy pociąg do Lublina, więc postanowiliśmy „nie zawalać” kątów. Przynieśliśmy koniak, bo taki tylko smakował naszemu wykonawcy, jak mówił, z powodu niskiego ciśnienia. Pogwarzyliśmy, pożegnali i odjechali do Lublina. – Na bieżąco będę panów informował, ile wykonałem pracy, przez zimę zakończę. W powrotnej drodze zastanawialiśmy się, czy aby to się ziści, różne myśli przychodziły nam do głowy, jednak świadectwo księdza o wartości tego człowieka dawało nam otuchy.

Wracając do domu nie mogliśmy się nadziwić różnicy, porównując ceny podane przez naszych rzeźbiarzy z ceną, którą zapłaciliśmy w Pasłęku. Wreszcie doszliśmy do wniosku, że co będzie, to będzie, pan Sienkiewicz nie wyglądał na kanciarza. Tak zostało. Mimo wszystko pieniądze ze sztuk, jasełek, misterium zbieraliśmy „dla pewności”. Niewiele nawet rozgłaszaliśmy informacji o takim zamówieniu, jedynie ksiądz proboszcz podnosił nas na duchu. Po jakimś czasie, a wydawało nam się, że czekamy już za długo, napisałem list. W odpowiedzi dostałem wiadomość: – jestem chory, jakiś czas musicie poczekać. Czekamy, już wiosna nadchodzi, a tu nie ma wiadomości, które by nas uspokoiły. Wreszcie otrzymuję list z przeprosinami, że musieliśmy tyle czekać, ale amputowali mu jedną nogę. – Czuję się już lepiej i jeżeli nie nastąpią nieprzewidziane komplikacje ze zdrowiem, prace ukończę, połowa już stoi na stole. Cierpliwość nasza jest na wyczerpaniu. Zbieramy się z Janem Niezbeckim i jedziemy, nie zważając, że za podróż nie bierzemy żadnych pieniędzy. W pociągu zimno, dopiero w połowie drogi zaczęli grzać, ponieważ ktoś na postoju rozłączył ogrzewanie. Po przyjeździe na miejsce, do Pasłęka, ciekawi jesteśmy, jaka będzie sytuacja. Kiedy przyszliśmy do domu pana Sienkiewicza, przez otwarte drzwi do pracowni ujrzeliśmy rząd już wyrzeźbionych prac. Spojrzeliśmy na siebie i „zapomnieliśmy języka w gębie”. A do tego pan Sienkiewicz przy warsztacie rzeźbił następną stację. Nie wiedzieliśmy jak się zachować, wszystko się zgadzało. Z wrażenia zapomnieliśmy się przywitać. Kiedy ochłonęliśmy, pani matka lekkim ruchem zaprosiła nas na kawę. Trochę żeśmy skłamali, że przyjechaliśmy w odwiedziny i z ciekawi byliśmy zobaczyć, co się dzieje. Wybiegłem po mały koniaczek, pogwarzyliśmy sobie do odjazdu pociągu, choć proponowano nam nocleg. Wyjechaliśmy z zapewnieniem, że jak zdrowie pozwoli, niedługo rzeźby będą gotowe i jak będą zakonserwowane przez panią konserwator, da nam listownie znać. Pod koniec lata dostaję list, że stację możemy odebrać, ale przy odbiorze musi być do jednej pracy jeden koniak. Przygotowaliśmy na wszelki wypadek pieniądze i jedziemy.

Z powodu chłodu, zabieramy trochę kanapek, bo wiemy jak wlecze się pociąg, zwany pospolicie „włóczęgą północy”, ciepłą herbatę, siadamy w pociągu zadowoleni i suniemy jak żółw. Pociąg znów niedogrzany, przydaje się ciepła herbata, no i oczywiście kanapki. Wreszcie czujemy ciepło w wagonie, rozbieramy się i możemy się zdrzemnąć. Jednak wiadomość o odbiorze nie daje spać. Dowiadujemy się od konduktora, że ktoś przerznął przewód ciepłowniczy i dlatego na jakiejś stacji był dłuższy postój. Wreszcie jesteśmy na miejscu. Jak zawsze miłe przywitanie, mama Sienkiewicza szykuje herbatę – bo panowie przemarzli – mówi miłym, charakterystycznym akcentem naszych byłych wschodnich rubieży. Ciekawość nas rozpiera – wyczuł to nasz rzeźbiarz i prosi do pracowni. Kiedy już zobaczyliśmy gotowe stacje, oczy zrobiły nam się duże jak kotom i zdawało nam się, że i włosy stanęły nam dęba na głowach. – No i co? Podobają się wam? – Bardzo – odpowiadamy, bo innych słów nam brakuje. – Zrobiłem tak jak powiedziałem. Nie znajdziecie ładniejszych w całej okolicy. Przyjechał tu jakiś ksiądz, jak zobaczył... to pieniądze, rzucił na stół ... nie wiem ile było złotych, w każdym razie kilkanaście razy więcej jak wy płacicie. Uśmiechnął się i powiedział – Nie myślcie, że może mówię o podwyżce... słowo u mnie więcej warte jak góra pieniędzy! Wskoczyłem do sklepu, kupiłem wędliny no i tradycyjny koniaczek, którego nigdy nie dopijaliśmy, zostawiając resztę panu Sienkiewiczowi na regulację ciśnienia. Pomyśleliśmy też o zapakowaniu czternastu prac. Trzeba biec po pudełka i sznurek. Wchodzimy do obuwniczego sklepu i pytamy o większe pudełka po butach. Pani ekspedientka spojrzała na nas podejrzliwie, wyszła na zaplecze i zaraz wróciła z kierowniczką. – Nie mamy takich pudełek – odrzekła. – Proszę pani, proszę się niczego nie obawiać, mamy do odebrania u rzeźbiarza pana Sienkiewicza stacje drogi krzyżowej do kościoła, jeżeli panie nie mają, to trudno... Po chwili mieliśmy dwa duże pudła z tekturowymi, karbowanymi wkładkami. Chcieliśmy zapłacić – bo przecież na odbiór mieliśmy tysiąc złotych. Panie się niemal obrażyły, my z ukłonem podziękowaliśmy i idziemy dalej. Wstąpiliśmy jeszcze do czterech sklepów i mieliśmy komplet pudełek. Przynieśliśmy pudła do pracowni, a sami idziemy szukać sznurka, ponieważ trzeba było dobrze zapakować. Nigdzie

nie możemy znaleźć. Pytamy ludzi, aż ktoś wskazał nam sklep z częściami do ciągników, na pewno będzie i sznurek. Przychodzimy... – „remanent”. Stukamy do kraty, wychodzi jakiś pan i pyta, co chcemy. Sznurka do snopowiązałki. – Czy nie widziacie, że „remanent” – i żartem pyta, co będziemy rżnąć. – Panie kochany... mamy do odebrania u rzeźbiarza stacje drogi krzyżowej, które jadą aż do Lublina, musimy je dobrze zapakować, jeżeli państwo możecie, to prosimy bardzo o ułatwienie nam kupna. Zjawiły się jeszcze dwie osoby, porozmawiały, a jeden z panów przyniósł kłębek sznurka i otworzył kratę. Zapłaciliśmy i podziękowali pięknie, życząc superaty. Bardzo się uśmiali z naszego żartu, pożegnaliśmy się i wracamy. Zabraliśmy się do pakowania. Ale czym to wywieźć na stację! Wybiegłem na ulicę, rozglądam się za jakimś samochodem... zatrzymuję żuka. – Szanowny panie, nie podwiózłby nam pan kilka pudełek do stacji? – Duże to? – We dwóch wrzucimy! – Siadaj pan... – Nie trzeba, bo to parę kroków! Żegnamy się szybko, wkładamy pudełka i ruszamy na stację, jadąc powoli, aby się coś nie uszkodziło. Po rozładowaniu wypiliśmy po oranżadzie i zgłaszamy przesyłkę do Lublina. Pan obsługujący pyta co to jest, bo od tego zależy opłata. Kiedy się dowiedział, złapał się za głowę. – Najtaniej byłoby zapłacić jak za drobnicę, ale to nie taki ładunek... Co tu zrobić... Na przesyłkę pocztową będzie drogo... – Rób pan, co pan chce, aby było dobrze i tanio. Pomyślał trochę i powiada – Już wiem, ryzykujemy opłatę jak za drobnicę, a wsadzimy w wagon pocztowy. Wy siadźcie zaraz za pocztowym, w razie jakby trzeba było przypomnieć, co wieziecie. Ja wszystko „nagram”, ale dla pewności siadźcie tak jak wam powiedziałem. Kiedy podstawiono pociąg, szybko wywieźliśmy bagaż wózkami pod „pocztowy”, kolejarze załadowali, pan pogadał z pilnującymi i obsługującymi. Dostał na piwo – chociaż się dąsał, ale wart był tego. Podziękowaliśmy, pożegnali i w drogę. Gdzieś w pół drogi nastąpiła zmiana lokomotywy i ludzi. Wyszliśmy, aby dopilnować, czy następna załoga poinformowana będzie o zawartości przesyłki. Odchodzący wskazali na nas i oświadczyli, że wszystko załatwione. Tak powoli dojechaliśmy do Lublina.

W Lublinie wysiedliśmy i idziemy zobaczyć, co się będzie działo dalej. Podjeżdżały wózki akumulatorowe i zaczęto rozła-

dunek. Jeden z kolejarzy obsługujący wagon pocztowy wychylił się i oświadczył, że z tymi pudłami to bardzo ostrożnie! – A co tam jest, jajka? Wychylił się drugi raz, coś powiedział szeptem, wskazał na nas i paczki ostrożnie pojechały do magazynu, jakby to były naprawdę jajka. W magazynie ostrożnie rozładowano paczki. Wszyscy dostali napiwek, choć tego nie oczekiwali. Podziękowaliśmy i zastanawiamy się, czym je zawieźć do Matczyna. Ranek był chłodny i po podróży zrobiło nam się zimno, więc wypiliśmy po gorącej herbacie, zjedliśmy „coś na ząb” i myślimy. Aż wreszcie wpadł mi do głowy pomysł, że tuż przy stacji jest poczta i może stąd będzie jechał z przesyłkami w stronę Bełżyc jakiś samochód. Poszedłem szybko na pocztę i pytam stojącego w budce, odzianego w kozuch wartownika, czy nie jedzie w stronę Bełżyc samochód z pocztą. Wartownik popatrzył na mnie, jakby badał, z kim ma do czynienia, aż wreszcie zapytał – A o co chodzi? – Wyjaśniłem mu szeptem, że mamy ładunek w tamtą stronę, powiedziałem jaki i czekam. – Dobra! – rzucił mi na plecy kozuch i karabin, kazał chwilę stanąć w budce, nie wylazić i nie pokazywać „gęby”, jak powiedział żartobliwie. Za parę minut wrócił z panią, która okazała się kierowcą jadącą w tamtą stronę. Tylko że trasa wiodła przez Wojciechów, Chmielnik, Bełżyce. Zgodziliśmy się, aby dowiozła nas do Bełżyc, tu już damy sobie radę. – Idźcie i czekajcie na rampie z ładunkiem, ja za dziesięć do piętnastu minut tam będę. Wypisaliśmy ładunek z magazynu, wynieśli na rampę i czekamy. W umówionym czasie podjechał żuk, włożyliśmy pudełka, w czym pomógł nam konwojent i w drogę. Pani kierowca okazała się moją znajomą. Kazała się mocno schylić w drodze przez miasto, nie pytaliśmy dlaczego i tak pojechaliśmy, za miastem już wyprostowani. Kiedy dojechaliśmy do Bełżyc, skręciła w stronę Matczyna oświadczając, że jak zawartość przesyłki dojechała do Bełżyc to i 4 km dojedzie jednym pojazdem. W Matczynie powoli zdjęliśmy pudła, podziękowaliśmy pani, chcieliśmy dać na czekoladę ale odmówiła twierdząc, że od znajomych się nie bierze. Jeszcze raz podziękowaliśmy, pani zawróciła, a my poszliśmy po klucz do kościoła, wnieśliśmy naszą przesyłkę i do domu. Proboszcz zaproponował herbatę i śniadanko, ale nam już się nic nie chciało, tylko spać.

Za dwa tygodnie ks. Proboszcz z młodzieżą przygotowali stacje drogi krzyżowej do poświęcenia. Do każdej stacji przypięto po kilka wstążeczek. Kto chciał, mógł zostać chrzestnym czy chrzestną, trzymając za wstążeczkę. Mimo że wstążek przywiązano dużo, to zabrakło, tylu było chętnych. Za wstążeczki trzymały po trzy osoby. Przy tej okazji i taca w kościele zwiększyła się bardzo, z czego zadowolony był proboszcz i wszyscy uczestniczący. Następnej niedzieli ksiądz założył nowy ornat oraz zapłacił długi, jakie ciążyły na parafii z powodu remontu. Ci, którzy pracowali na zakup stacji, chodzili dumni, że praca w zespole, w grupie nie poszła na marne.

Po rozwiązaniu powiatu i powstaniu gminy praca z młodzieżą i dziećmi stała się jakby łatwiejsza. Z komendantem milicji można było rozmawiać „jak z człowiekiem”, jednak wyczuwało się, że zaszłości po powiecie pozostały. „Zgnili” partyjniacy i ormowcy nie mogli się pogodzić, że ich wpływy zmalały, choć robili co mogli, aby społeczników o innym światopoglądzie zniszczyć. Próby odbywały się w salce katechetycznej. Odeszła partyjna dyrektorka, mogliśmy wchodzić do szkoły. Jednak zagorzali partyjniacy nie dali spokoju. Po jakimś czasie zrozumieliśmy, że znów musimy odejść do sali katechetycznej. Wciągnąłem do spotkań więcej dzieci, które z wielką chęcią brały udział w spotkaniach. Zaproponowałem, że zorganizujemy jasełka, na które dzieci miały największą ochotę. Bardzo dużo wyjeżdżaliśmy w teren oraz na przeglądy, do Nałęczowa, Krasnegostawu, Łęcznej. Graliśmy w Bełżycach i w innych parafiach. Od czasu do czasu stawiałem się na wezwanie władzy na posterunek, gdzie byłem upominany, jak mam się zachowywać, aby nie godzić w dobro władzy ludowej i bym miał świadomość, co grozi za nieposłuszeństwo czy krytykę. Wiedziałem, że donoszono władzom, gdy dopisywałem krytyczne teksty Diabłu, Herodowi lub Judaszowi w Misterium Męki Pańskiej. Zawsze miałem dwa teksty, jeden

do kontroli, drugi dla siebie, z pewnymi dopiskami. Zbieraliśmy grosz do grosza, ponieważ zamierzałem zorganizować dzieciom wycieczkę nad morze. Mimo nawału pracy w gospodarstwie musiałem znaleźć czas na próby i spotkania z dziećmi. Wiedziałem, że dalej jestem pilnie obserwowany przez ormowców oraz aktywnych działaczy PZPR. Wreszcie nie wytrzymali i postanowili wsadzić mnie do więzienia. A było to tak. W Matczyniu u pewnego gospodarza odbywała się kolacja na zakończenie budowy gospodarczego budynku. Przybiegł do gospodarstwa jeden z ormowców z informacją, że Sieńko chciał go zabić kamieniem. A że był źle przygotowany do tej prowokacji i był pod wpływem alkoholu, uczestniczący w „wiankowym” wyrzucili go za drzwi. Ten zameldował na milicję, że nie udzielono mu pomocy, kiedy groziła mu śmierć „ukamienowania”. Kiedy przyjechał milicjant i zaczął interweniować u tegoż gospodarza, wygnano go z domu, doszło do szarpaniny, jeden z uczestniczących zabrał milicjantowi pistolet, który wyciągnął z kabury. Chciał przeszukać pomieszczenia, ponieważ tu miał się skryć Tadeusz Sieńko. Ów młody człowiek obiecał milicjantowi, że pistolet zawiezie na Wojewódzką Komendę i odda znajomemu kapitanowi milicji. Dowiedziałem się o tym incydencie na drugi dzień, kiedy żona milicjanta zgłosiła się do mnie z prośbą, żeby coś zrobić, bo ten „wariat” ormowiec może pomóc w wyrzuceniu jej z pracy. Za pół godziny przyjechał wóz milicyjny, którym przyjechał tylko znajomy kierowca i przywiózł mi wezwanie na komendę w charakterze świadka. Oświadczyłem, że nie wiem o niczym, co miałbym świadczyć i przeciw komu. Kazał mi na kilka dni zniknąć z domu, bo będą po mnie przyjeżdżać. – Może ten wariat się uspokoi to i tobie dadzą spokój – dodał. Kiedy wytrzeźwiał, załatwiono sprawę bez mojego udziału z milicjantem, który odzyskał pistolet w zamian za obietnicę, że nie będzie świadczył przeciwko mnie. Pan milicjant przyjechał do mnie z informacją, że sprawa załatwiona i nie powinno być żadnych komplikacji. Dowiedziałem się wkrótce, że ten prowokator miał nawet świadka, który miał zeznawać przeciwko mnie. Nie wystraszyło mnie to, raczej wzmogło chęć do dalszej pracy.

Rozpocząłem intensywną pracę z dziećmi, ponieważ młodzieży było coraz mniej. Chłopcy pożenili się, dziewczęta powychodziły za mąż. Sztuki w mniejszej obsadzie jednak dalej były wystawiane, z udziałem dzieci, które garnęły się do pracy w przedstawieniach. Najczęściej były to jasełka lub recytacje. Tak spędzaliśmy czas wspólnie, do czasu przyjscia nowego proboszcza. Dalej jeździliśmy w teren i „ciułali” grosz do grosza, który składaliśmy na książeczkę wystawioną na nazwisko jednego z kolegów, zaufanego i poczciwego młodego człowieka. Po przybyciu nowego proboszcza, ks. Zenona Ziomka, działalność znowu się ożywiła. Proboszcz był bardzo zadowolony z naszej aktywności, jeździł z nami na przeglądy i cieszył się z każdego występu. Dzisiaj, przy spotkaniu, zawsze mile wspomina ten czas. Nowa dyrektorka szkoły, pani Magdalena Nieradko, z wielką chęcią przyjęła nas do siebie. Mimo że dobrze zagospodarowaliśmy budynek katechetyczny, a do dyspozycji mieliśmy również plebanię, w szkole było więcej miejsca i cieplutko. Trzeba tu wspomnieć panią woźną, już nieżyjącą, która w każdej chwili była do dyspozycji, a czasem pomogła mi w uspokojeniu rozbrykanych dzieciaków. Praca układała się bardzo dobrze, z księdzem, dyrektorką szkoły, panią woźną i rodzicami. To co robiłem, a robiłem to z przyjemnością, było dobrem dla młodzieży, dzieci i społeczeństwa. Już o tym pisałem, ale kiedy praca układa się wspaniale, aż się chce się o tym stale przypominać. Wiedziałem od pewnych i zaufanych osób, partyjnych oczywiście, że na zebraniach roztrząsa się moją działalność. Jednak władze mniej reagowały na donosy, dopóki nie zjawiał się nowy gminny sekretarz PZPR. Dzięki zainteresowaniu „czerwonych” parafian, zaczęto śledzić działalność moją i proboszcza, który włączał się czynnie w pracę z młodzieżą i dziećmi. Proboszcz nie był politykiem i nie wygłaszał homilii politycznych, ale od czasu do czasu jako kapłan i pasterz miał prawo upomnieć w sprawach dotyczących życia parafii i zasad moralnych, choć czynił to w sposób delikatny. Jednak działaczom komunistycznym to wystarczyło, aby śledzić naszą wspólną działalność. Za judaszowe grosze i wódkę robiono co można. Tylko władza jakoś nie bardzo się do tego przychyliła. Piszę tu o wła-

dzy samorządowej. Nie pamiętam, na co potrzeba było pieniędzy w parafii, ponieważ zawsze coś robiliśmy. Zaproponowałem, że zorganizujemy z młodzieżą, a może i starszymi, Misterium Męki Pańskiej. Zebrałem chętną młodzież, żonatyh mężczyzn, kobiety i zaczęliśmy próby. Nadszedł czas na przedstawienie, oczywiście w kościele. Jak zawsze, ludzi było po brzegi, nie tylko z naszej parafii. Takiej chęci do grania, jaką mieli moi podopieczni, życzyłbym innym zespołom. Graliśmy w sobotę, nie rozbiegając sceny powtarzaliśmy w niedzielę. W niedzielę poszedłem na Mszę Świętą rano. Po zakończeniu nabożeństwa zawołał mnie proboszcz. Poszedłem, a on pokazuje mi butelkę za szafą i pyta: – Co to jest? – Butelka! – odpowiadam. – A czy nie wie pan, po czym ona jest? – Nie wiem, musi po wodzie... – Nie! Po wódce! – To niemożliwe! – Niech pan powącha...

Wiedziałem od razu, że starsi bez mojej wiedzy „sypnęli” sobie po jednym dla śmiałości. Pewnie dlatego „grali jak z nut”, a jeden z grających, kiedy zgodnie z rolą upadał, rozbił sobie kolano i w takim stanie do końca odtwarzał swoją rolę. Musiałem mieć zdenerwowaną minę, bo proboszcz spojrział na mnie i powiedział: – Niech się pan nie złości, darujmy im to, trochę nieładnie że to w kościele. Aby zażegnać sprawę, powiedziałem, że na pewno wypili sobie przed kościołem. Proboszcz machnął ręką, uśmiechnął się, poprosił tylko, żeby się to nie powtórzyło wieczorem. Graliśmy jeszcze kilka razy w terenie, ale zamierzony cel został osiągnięty. Tak zakończył się ostatni występ z udziałem starszych. Jednak nie odbiło się to negatywnie na naszej działalności. Proboszcz z ambony podziękował wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób uczestniczyli w przedstawieniu, a zebrane pieniądze zostały zagospodarowane z pożytkiem.

W szeregach miejscowych partyjniaków zawrzało! Tym bardziej, że w Misterium Męki Pańskiej brali udział również członkowie partii. Wezwano mnie „na dywanik”. Najpierw do gminy, gdzie rozmowa toczyła się, jak między jąkałą a niemową. Trochę się uśmiełem, jak zastępca naczelnika nie wiedział jak mnie

uświadomić, aż wreszcie wyjąkał, że wytłumaczę się na posterunku. Dla „draki” podziękowałem mu za rozmowę, przypominając mu, że kiedyś był ministrantem i wyszedłem. Matczyńscy działacze partyjni i ormowcy nie dawali za wygraną. Mając za sobą sekretarza gminnego, posłali mnie na posterunek. Po krótkiej rozmowie z komendantem, dosyć ciekawej jak na socjalistyczną władzę, kazał napisać milicjantowi protokół, że stawilem się i przeprowadzono odpowiednią rozmowę. Protokół podpisałem i miałem podstawę, by działać dalej. Po tych rozmowach upewniłem się, że są służbiści działający „z zamkniętymi oczami” i ludzie „hamulcowi”, celowo nie interesujący się tym, co robię, o czym się mogłem przekonać się w rozmowie z komendantem posterunku. Nieraz myślałem sobie, że już mam dość tych tłumaczeń, spotkań i uświadomień, ale po kolejnym spotkaniu z wujkiem Janem Majem, stawałem z nowym zapałem do pracy, naładowany duchowo i patriotycznie, wierząc, że Pan Bóg da mi siły, aby podolać wszelkim trudnościom.

Wycieczka nad morze stawała się realnie bliska. Dzieci, zachęczone wyjazdem, pracowały jak mrówki, aż tu nagle kolejne zaskoczenie. Dzieci jak zawsze, żywe, uśmiechnięte, nazywające mnie wujkiem lub dziadkiem – to określenie lepiej do mnie pasowało – cieszyły się, że już niedługo damy przedstawienie jasełek, że będą się mogły wykazać swoimi zdolnościami, za które chwaliłem wszystkich bez wyjątku. Przychodzi Pani Magda, jak czasem nazywaliśmy dyrektorę, i odwołuje mnie na bok: – Panie Tadeuszu, z przykrością muszę panu powiedzieć, że dostałam „przykaz” nieudostępniania panu szkoły i – jeśli to możliwe – zabronienia dzieciom uczestnictwa w prowadzonych przez pana zajęciach. Pan zdaje sobie na pewno sprawę, że mogę stracić pracę. U pani Magdy zauważyłem szklące się od łez oczy. – Niech się Pani nie martwi, rozumiem Panią i z powrotem przejdziemy do sali katechetycznej. Jasełka się odbyły, na przeglądy jeździliśmy jak zawsze, do Nałęczowa, Krasnegostawu, Łęcznej i do innych parafii. Już nie występowaliśmy jako zespół szkolny, tylko jako zespół dziecięcy „Razem”, działający przy parafii. Dalej praca przebiegała pomyślnie, co doprowadzało komunistów do złości i – jak powiedział mi jeden z działaczy partyjnych z Bełżyc – „szlag” trafiał na zebraniach i sekretarza i działaczy

z naszej parafii. Ja się w duchu z tego cieszyłem, bo wiedziałem, gdzie włożyć „szpilkę”, aby pogłębić ich irytację.

Nadal pracowałem przeważnie z dziećmi, mniej z młodzieżą, trudniej było ich zorganizować, choć od czasu do czasu organizowaliśmy jakieś imprezy. Czas płynął szybko, mimo że próby odbywały się w sali katechetycznej lub w kościele. W czasie wyjazdów na przeglądy, jak zawsze towarzyszył nam proboszcz.

Pewnego dnia – a warto to wydarzenie opisać, ponieważ dobrze ilustruje sposób, w jaki władza dbała o socjalistyczne wychowanie, jak również demonstrowała siłę ludowej władzy – ksiądz proboszcz nie przyszedł na Mszę Świętą. Mija godzina, o której miała się odprawiać Msza, księdza nie ma. Siostry pracujące w zakładzie dla dzieci głęboko upośledzonych poszły zobaczyć, co się stało. Drzwi zamknięte. Wyczuły dziwny zapach dymu. Wezwały mężczyzn, którzy wyważyli drzwi. Na podłodze leżał związany proboszcz, a obok jego ojciec z zakrwawioną głową. Szybko wezwano pogotowie, ugaszono ognisko rozpalone w pokoju z rozłożonych na dywanie papierów i położonego na wierzchu telewizora. Gdyby ogień połączył się z powietrzem, spaliliby się żywcem. Pokaleczonych zabrano do szpitala. Proboszcza przypalano, a jego ojciec został uderzony siekierą w głowę. Byłem świadkiem, kiedy przyjechała milicja. Staliśmy z kolegą, kiedy zjawił się ks. dziekan z Bełżyc. Milicja rzekomo wykonywała swoje czynności, a stojący obok nas kapitan bluzgał przy wszystkich słowami, które nie nadają się do przytoczenia, aż „uszy wędły”. Milicja przyjechała z Lublina. Można się było po pracy milicji i jej zachowaniu zorientować, że to była prowokacja, która miała nastraszyć wszystkich księży z sąsiednich parafii. Splądrowano pokoje, piece i zaczęto zrywać podłogę. Kiedy z kolegą pilnowaliśmy plebanii, w nocy podjechały jakieś samochody, nawróciły na placu obok kościoła i znikły. Nie mogliśmy dojrzeć, co to były za samochody, bo było ciemno. Pomyślałem wtedy, czy nie przyhamować swej działalności. Po spotkaniu z księdzem w szpitalu i po jego powrocie, doszliśmy do wniosku, że to wydarzenie nie ma związku z moją działalnością. Ksiądz proboszcz kazał mi nadal pracować i nie dać się zawładnąć strachowi. Był to kapłan oddany Bogu i ludziom. Mimo wszystko, darował bandytom i pracował dalej w naszej parafii.

Będąc pewnego razu w gminie, spotkałem sekretarza gminnego PZPR w Bełżycach. Po powitaniu zwrócił się do mnie ironicznie: – Jak tam idzie praca z młodzieżą i dziećmi? Tymi słowami chciał podkreślić swoją władzę i sprawdzić, jak się do tego odniosę. Odpowiedziałem mu w ten sposób: – Wygnał nas pan ze szkoły posługując się panią dyrektorem, co oznajmił mi jeden z pańskich członków z Bełżyc, więc wyszliśmy i pracujemy na dworze, a pańscy poplecznicy z Matczyna cieszą się razem z „towarzyszem”. Dziwi mnie tylko, że „towarzysz” jako polonista, zamiast bronić naszej kultury, niszczy ją i zamazuje na rzecz obcego państwa. Chyba nie jesteście, „towarzyszu”, Polakiem.

Zaczerwienił się, nic nie odpowiedział, a ja spokojnie, z uśmiechem, odszedłem załatwiać swoje sprawy. Po pewnym czasie, kiedy postradał różne stanowiska łącznie z funkcją sekretarza PZPR, przy spotkaniu, również w gminie, zaczął mnie przeproszać. Odpowiedziałem, że się nie gniewam, a jego wyczyn zmobilizował mnie do pracy. Nawet zaczął pochwalać nasze poczynania, z czego się uśmiełem i odszedłem. Nie minęło wiele czasu, wróciliśmy do szkoły. Widocznie został wyleczony ze swoich zapatrywań, a może odezwało się w nim polskie serce? Byliśmy razem z panią Magdą zadowoleni, a jeszcze bardziej cieszyła się pani woźna, bo miała na kogo pokrzywić i zwracać uwagę. Kiedy był występ w szkole, zatrudnialiśmy ją jako kasjerkę, choć datki były dobrowolne.

Niedługo po najściu proboszcz pozostał w parafii. Biskup przeniósł go gdzie indziej, aby nie stało się coś nieprzewidzianego. Zespół stracił opiekuna na przeglądach. Do dziś zawsze mile wspomina te wojaże z zespołem.

Jeszcze przed odjazdem z naszej parafii, proboszcz skontaktował mnie z ks. z Pruszcza Gdańskiego, żeby taniej kosztowała wycieczka. Na trzydniową wycieczkę trzeba było sporo grosza, a tyle nie mieliśmy. Uzgodniliśmy z księdzem z Pruszcza, że załatwi nam noclegi, śniadania i kolacje. Zamówiłem autokar i dałem telefonicznie znać, że w tym a w tym dniu wyjeżdżamy. Zebrałiśmy odpowiednią ilość dzieci, nie tylko z zespołu, i czworo opiekunów, jedna z opiekunek była pielęgniarką, co zapewniało

choć w części bezpieczeństwo dzieciaków. Przed samym wyjazdem otrzymałem wiadomość, że autokaru nie będzie, z przyczyn niezależnych. No cóż, trudno! Nie mogłem dodzwonić się do księdza w Pruszczu, dopiero na drugi dzień wieczorem przekazałem wiadomość, że nie przyjeżdżamy, ponieważ odwołano nam autokar. Dzieci się bardzo zasmuciły, wyjaśniłem im przyczynę i obiecałem, że nie dam za wygraną i autokar załatwię w innym terminie. Tak też się stało. Za tydzień załatwiłem autokar, dla pewności napisaliśmy umowę, że w razie odwołania wyjazdu instytucja zapłaci nam pewną sumę. W umówionym dniu dzieci stały się w komplecie razem z opiekunami. Ileż było radości, kiedy ruszyliśmy w drogę, którą rozpoczęliśmy modlitwą w kościele. Dzieci były ciekawe, gdzie będziemy spali u księdza w Pruszczu – czy na plebanii, a może w salce katechetycznej. Kiedy zażartowałem, że w kościele, zamartwiały się, że nie będzie można rozmawiać. Ja sam nie wiedziałem, jak ksiądz w Pruszczu zagospodaruje taką gromadę. Dojechaliśmy późnym wieczorem. Ksiądz już czekał, wyszedł do autokaru, serdecznie nas przywitał i zaprosił do kościoła. W kościele zastaliśmy grupę ludzi, uśmiechających się do nas. Trochę nas to zaskoczyło. Ksiądz przywitał nas w imieniu tychże ludzi i oznajmił, że każda z osób bierze dwoje dzieci do siebie na czas wycieczki, zapewniając śniadanie i kolację. Byliśmy bardzo zaskoczeni. Zanim się zorientowaliśmy, każda z oczekujących nas osób trzymała przy sobie dobrane dzieciaki, opiekunowie również zostali zaproszeni. Ja z panem kierowcą nocowaliśmy u bardzo przyjemnych państwa, którzy byli nauczycielami. Do dzisiaj wspominam mile tych ludzi i jestem im wdzięczny za serdeczności. Szybko poznaliśmy się i rozmowom nie było końca. Pan kierowca pojechał do rodziny i przyjeżdżał rano, aby nas wozić po Trójmieście. Dzieci również stawały się rano, przyprowadzane przez swoich opiekunów, a wieczorem o umówionej godzinie opiekunowie zabierali je z powrotem do siebie. Dzieci były zaszokowane opieką, jaką ich objęli. Otrzymywały nie tylko śniadanie i kolację, ale również kanapki i słodycze na drogę, kiedy zwiedzaliśmy Trójmiasto. Dzień rozpoczął się modlitwą w kościele, błogosławieństwem księdza i ruszaliśmy w drogę. Pragnę wspomnieć, że więcej było chętnych do opieki niż dzieci i niektórzy odeszli zawiedzeni. Do dziś tym

parafianom jesteśmy bardzo wdzięczni, otrzymaliśmy od nich wiele ciepła i życzliwości. Nawet przewodnik tak się zaangażował, że chodził z nami od rana do wieczora, a nie osiem godzin. Wycieczka nie byłaby ważna, gdybyśmy nie popłynęli okrętem na Hel. Wieczorem dwie dziewczynki dostały temperatury. Dostały leki i zabroniłem kąpieli oraz wchodzenia do wody. Kiedy jednak wyszliśmy na plażę, nim się zorientowałem, wszyscy byli w wodzie. Rozglądałem się za chorymi z temperaturą, a dziewczynki już kawał od brzegu, chlapią się razem ze wszystkimi. O mało nie dostałem szoku, przecież odpowiadałem za zdrowie i bezpieczeństwo dzieci. Po zwiedzaniu, wracając do Trójmiasta, udawałem, że jestem zmartwiony nieposłuszeństwem dziewczynek i zaniepokojony ich zdrowiem. Trochę się zaczerwieniły i obiecały, że więcej tak nie zrobią. Wieczorem kiedy zabierano dzieci na nocleg, z opóźnieniem przypomniałem dzieciom o dobrym zachowaniu u opiekunów. Okazało się, że dwóch chłopców gdzieś się zawieruszyło poprzedniego wieczoru. Po godzinie się odnaleźli. Mieszkali blisko lotniska i samodzielnie poszli oglądać samoloty. Pani, która ich odbierała, nie pozwoliła ich skarcić i oświadczyła, że po zwróceniu im uwagi zachowywali się jak „dżentelmeni”. Nic nie miałem do powiedzenia. Wszyscy opiekunowie zgodnie oświadczyli, że dzieci są bardzo posłuszne i grzeczne. Trochę mnie to zdziwiło, bo znałem i znam ich na pamięć, ale cieszyła mnie ich „przemiana”. Martwiłem się tylko o dziewczynki, aby nie zachorowały. Kiedy rano stały się w kościele, najpierw zapytałem je o zdrowie. Oświadczyły, że nie mają temperatury, co potwierdziła nasza pielęgniarka żartując, iż słona woda wyciągnęła chorobę. Spokojnie poszliśmy zwiedzać dalej. Osobnym kłopotem miały być obiady. Kiedy planowałem wycieczkę mówiono mi, że wcześniej trzeba zamawiać wyżywienie i będę miał z tym trudności. Chociaż dzieci po obfitych śniadaniach u swoich podopiecznych były tak najedzone, że mogły chodzić do wieczora. Jednak znowu mieliśmy szczęście, albo zrozumienie, okazane nam przez restauratorów. Pragnę opisać jedno ze zdarzeń, kiedy z opiekunami poszliśmy załatwić obiad do restauracji. Porozmawialiśmy z kierowniczką, bardzo sympatyczną panią, która po naszych wyjaśnieniach oświadczyła: – Przyjdźcie za godzinę, bo najpierw spożyją obiad członko-

wie narady partii, oczywiście PZPR. Damy im wątróbkę, a wam zrobimy coś innego. Za godzinę otrzymaliśmy porządny obiad. Tak było przez trzy dni, nie mieliśmy żadnego kłopotu z obiadami – a może mieliśmy dużo szczęścia, trafiając na dobrych ludzi. Po zakończeniu wycieczki, ponownie spotkaliśmy się w kościele. Byłem bardzo wzruszony pożegnaniem, każde z dzieci przyniosło kwiatki i wręczyło je swoim opiekunom. Nawet popłynęły „łezki”, a ja wysłuchałem chyba najprzyjemniejszych pochwał o naszych dzieciach, ich grzecznym zachowaniu, posłuszeństwie itd. Nawet padła propozycja od pewnych państwa, że przyjąłoby dwójkę, dwóch chłopców lub dwie dziewczynki na zawsze. Dzieci obdarowane zostały słodyczami, kanapkami i drobnymi upominkami. Po serdecznym pożegnaniu wyruszyliśmy do domu. Może kiedyś, jakimś sposobem, dotrą do Pruszcza Gdańskiego moje wspomnienia. Zatem tą drogą składam wszystkim serdeczne podziękowanie za przyjazne i ciepłe przyjęcie naszych dzieci w swoich domach. W drodze powrotnej zabrałem z Wybrzeża „bibułę”, ponieważ zbliżały się czasy „solidarnościowe”.

Przyszedł nowy proboszcz i nastąpił regres zainteresowania naszymi działaniami. Mimo wszystko, jak mogliśmy, tak prowadziliśmy zajęcia. Nasiliły się prace nad słowem. Recytacje, które dotychczas nie bardzo lubiłem, zaczęły mi się podobać. Dlatego też prowadzone prace z recytatorami zaczynały przynosić efekty. Jeździliśmy na konkursy, zdobywając rozmaite nagrody, co cieszyło zarówno młodzież jak i mnie. Nie obyło się bez przedstawień o tematyce wiejskiej. Stworzyłem kabaret o nazwie „Decis”. Taką nazwę nosił środek na rozmaite szkodniki. Próbowałem już wcześniej, ale wówczas przymknięto mi „gębę” i sfolgowałem. Zaczęliśmy znowu doskwierać rozmaitym władzom i po niedługim czasie doniesiono odpowiednim organom, że jestem w krytyce bezwzględny, za co poproszono mnie na „dywanik”. Ciekawe to było przesłuchanie, a raczej rozmowa. Nie kryłem, o czym mówiliśmy w kabarecie, a nawet przedstawiłem tekst o pilnujących porządku publicznego, z którego uśmieł się mój

rozmówca. Czasem trzeba było coś przyciąć, ale donosiciele za zwyczaj nie rozumieli tekstów i wyłapywali tylko poszczególne słowa, nie wiążąc ich w całość. Po jakimś czasie uwaga władz się wyostrzyła, więc musieliśmy odpuścić. Skupiliśmy się na przedstawieniach w szkole i na recytacjach.

Po upływie półtora roku nastąpiła kolejna zmiana proboszcza. Z nowym proboszczem szybko nawiązaliśmy kontakt osobisty, może dlatego, że byliśmy z jednego roku i obaj nosiliśmy białe głowy. Nieraz czułem się zakłopotany, kiedy proponował mi, bym zwracał się do niego per ty. – W najgorszym wypadku wołaj na mnie szpakowaty – żartował, bo miał mniej siwe włosy. – Na mnie zawsze wołaj siwy! – odpowiadałem. Kiedy dzisiaj wspominał księdza, z przykrością muszę napisać, że zakończył swoją pielgrzymkę ziemską. Kapłan z powołania, dobry gospodarz. Czasem pospieraliśmy się, nawzywał mnie od uparciuchów, oczywiście życzliwie, a potem przyznawał mi rację. Praca nasza, już przeważnie tylko z dziećmi, ruszyła na całego. Z powodu reorganizacji szkół, trudno było starsze dzieci namówić do pracy. Jak zawsze, dziecko wiejskie musi przechodzić w nauce najgorsze. Reorganizacja, jaka by nie była, nigdy pozytywnie nie wpłynęła na naukę dzieci wiejskich. Mimo wszystko pracowaliśmy z dziećmi, wystawiając jasełka, oraz angażowałem dzieci do recytacji. Nie było większych problemów – choć zbieraliśmy się w szkole zachowując ostrożność. Tak dotrwaliśmy do 2002 roku, kiedy wypadło mi zorganizować 50. lecie mojej pracy. Rok opóźnienia nie przeszkodził. W parafii był już nowy proboszcz. Kiedy zacząłem liczyć i zapraszać gości na tę uroczystość, okazało się, że przez te lata przewinęło się przez zespół ponad dwieście osób. Wojewódzki Dom Kultury wydrukował zaproszenia, które zostały rozdane wszystkim, którzy w jakiś sposób uczestniczyli w naszej pracy kulturalnej. Wówczas zaproponowano mi, aby wspólnie zorganizować spotkanie „przy szampanie” w remizie strażackiej. Zgłosiło swój udział około siedemdziesięciu osób, plus zaproszeni goście, a także księża, którzy przyje-

chali, aby uczestniczyć w najważniejszej uroczystości, czyli Mszy Świętej. Kościół był pełen ludzi, a największą satysfakcję sprawił mi udział moich podopiecznych. Nie wszyscy mogli uczestniczyć w spotkaniu w remizie, ale ci, którzy tam byli, bawili się do późnej nocy. Życzono mi zdrowia, wszystkiego co najlepsze, podziękowań też mi nie szczędzono. Mimo to, na drugi dzień wylądowałem w szpitalu, bo zaniedbałem wcześniejsze dolegliwości, chcąc doprowadzić do końca miłą dla mnie uroczystość. Za żart proszę przyjąć informację, że dla mojego „wyzdrowienia” goście poprawili jeszcze drugiego dnia. Mimo wszystko cieszyłem się, że pracę, którą wkładam, docenili wszyscy uczestniczący bez żadnego wyjątku. Ponieważ nowy proboszcz nie był wielce zainteresowany naszymi działaniami kulturalnymi, ograniczyłem się więc do pracy z dziećmi w dziedzinie recytacji. Nasze stacje drogi krzyżowej, niedopilnowane, zostały wymyte wodą co spowodowało, że zaczęły pojawiać się siwe pasy. Kiedyś zwróciłem uwagę proboszczowi, że trzeba natychmiast odnowić, ponieważ piękne jasne stacje mogą zamienić się w siwe. Proboszcz się obraził, że parafianin mógł mu zwrócić uwagę. Zwróciłem się do radnych, ale ci odpowiedzieli, że nie chcą sobie robić wroga i w tej sprawie, podobnie jak w innych, nic nie mają do gadania. Dopiero, jak wyraźnie było widać siwe zaciągnięcia, proboszcz bez wiedzy ofiarodawców, a tylko wspominając o tym radzie, zlecił umalowanie stacji na brązowo z elementami złotymi i tym niejednorodnym złotem zatkał oczy parafianom. Prócz tego odjął piękne krzyże przymocowane z boku stacji, co dawało im piękna. Kiedy zwróciłem na to uwagę, półgłosem odpowiedział, że jak ludzie będą się domagać, to krzyże z powrotem wrócą. I znów obraziłem czcigodnego proboszcza, a kiedy zacząłem rozmawiać z tymi, co z nim pracowali, odpowiedzieli: nie chcemy sobie robić wroga. Do dzisiaj nie mogę pogodzić się ze zmarnowaniem piękna drogi krzyżowej.

Zrezygnowałem z pracy nad kulturą sakralną, może i wiek nie bardzo na to pozwalał, jednak nie odszedłem od dzieci. Dzięki uprzejmości i zrozumieniu mojej pracy i pasji nowa pani dyrektor Marta Och pozwoliła mi przygotowywać dzieci do konkursów recytatorskich. Najważniejszym jest dla mnie konkurs o tematyce wiejskiej oraz drugi o tematyce religijnej. Za każdym

razem dzieci przyjeżdżały przynajmniej z wyróżnieniami. Wykorzystałem swoją pasję i zainteresowania nie tylko dla swojej przyjemności, cieszyło mnie, kiedy dzieci z pozytywnymi wynikami reprezentowały naszą szkołę. Pragnę zaznaczyć, że dzieci z naszej szkoły, z okazji dwudziestej piątej rocznicy pontyfikatu Jana Pawła II, dzięki uprzejmości ks. profesora Tadeusza Stycznia, nagrały kasetę z Jasełkami. Otrzymaliśmy za nią podziękowanie z Watykanu, co jest dla nas największym wyróżnieniem w naszej dotychczasowej pracy.

Cieszę się, że mogę nadal pracować z dziećmi, i pragnę serdecznie podziękować pani dyrektor Marcie Och za współpracę. Prócz pracy z dziećmi, miałem ostatnio dwa spotkania z młodzieżą w technikum rolniczym w Bełżycach oraz z dziećmi w szkole podstawowej w Klementowicach. Wszystkie spotkania wspominać bardzo miłe. Jeżeli zdrowie mi pozwoli, zamierzam nadal spotykać się z młodzieżą i dziećmi.

Dziedzictwo naszej kultury jest tak wspaniałe, że warto było dla jego ocalenia podjąć takie wyzwanie przeciw komunistom i ich poplecznikom. Obrona kultury sakralnej i jej piękna również była celem mojej pracy, na ile pozwalały dane mi przez Boga możliwości. Dumny jestem, że za swoją maleńką „cegiełkę” zostałem wyróżniony różnymi nagrodami, listami gratulacyjnymi, między innymi nagrodą prof. Chałasińskiego, Ministra Kultury i za działalność społeczną wśród społeczeństwa, młodzieży i dzieci przez Zarząd Główny Polskiego Stronnictwa Ludowego Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Nie jest to absolutnie zarozumiałość z mojej strony, jestem od tego daleki, pragnę jedynie pokazać, że zostałem zauważony i doceniony, z czego jestem bardzo dumny. Czuję wewnętrzną satysfakcję, że wieloletnia praca nie poszła na marne. Choć odbiło się to na moim zdrowiu, jednak z perspektywy czasu widzę, że warto było walczyć o nasze polskie wartości moralne. Ta maleńka „cegiełka” została również wpisana złotymi literami w księdze pamięci w Wojewódzkim Domu Kultury w Lublinie.

Nie osiągnąłbym tego wszystkiego bez udziału moich podopiecznych, starszych, młodzieży i dzieci, za co z serca jestem im wdzięczny. Kiedy ich wspominam, z perspektywy pięćdziesięciu pięciu lat, cieszę się, że są to ludzie o głębokich walorach moralnych. Mam nadzieję, że moi najmłodszy wychowankowie nie pozostaną w tyle.

Szczęść Boże wszystkim! Dziękuję jeszcze raz każdemu, kto w jakikolwiek sposób wspierał mnie, w tak ważnej misji ratowania naszych narodowych wartości.

Pragnę na koniec zapewnić wszystkim, którzy moje wspomnienia będą czytać, że mity, które krążyły wokół mnie, zawierające się w stwierdzeniu: „jakby nie miał nic z tego, to by tego nie robił”, to pogłoski krzywdzące moją osobę i sprawiające mi przykrość. Chcę oświadczyć, że na pracy społecznej się nie zarabia, a raczej się dokłada, co często mi się ostatnio zdarzało. Pragnę na koniec materiał i tematy swojej pracy pokazać od samego początku. Są to monologi, które pamiętam z lat władzy ludowej oraz wiersze – jeżeli tak je można nazwać – z czasów tejrzej władzy. Także przekazy pamiętające prace w majątku czy teksty o tematyce religijnej; wiersze o Janie Pawle II – największym z Polaków i inne, które chcę przekazać potomnym. Pragnę serdecznie podziękować tym wszystkim, którzy pomogli mi w wydaniu tych wspomnień. Szczęść im Boże!

Aby raz jeszcze potwierdzić, że cieszyłem się, mogąc pracować społecznie, pragnę wspomnieć o pracy magisterskiej (pisanej na mój temat), autorstwa Anny Bednarczyk-Wójtowicz z Wojcieszyna, zamieszkałej w Matczynie. Serdecznie dziękuję za ten prezent i korzystam z okazji, aby wyrazić moje zadowolenie z tego, co udało mi się osiągnąć przez 55 lat. Dziękuję wszystkim respondentom za miłe dla mnie wypowiedzi i wsparcie dla dobra naszej wspólnej sprawy.

Wieczór na wsi

Patrę, jak zza budynków mojego gospodarstwa
Jak pyzata dziewczyna, księżyc do góry się wspina
I patrzy co oświetlić, na co rzucić pragnienie –
I wreszcie pomyślał... rzucę je na wszystkie cienie.

Wspiął się wyżej, jak strażak po drabinie,
Jasno zrobiło się wkoło, rozejrzał się powoli,
Spodobała mu się jabłoń kwitnąca,
Na skraju sadu dumnie stojąca.

Przyglądał się jak pięknej dziewczynie,
Stała calutka w bieli, z rozłożonymi rękoma
Jak panna młoda w welonie, świeżutka pachnąca,
Cierpliwie na partnera czekająca.

Obok słowik smarował struny, próbując je czasem,
Szykując je na całą noc, żeby nie zawiodły.
Żaby na przemian kumkały z hałasem,
Nadmuchując pęcherzyki, wyglądając z wody czasem.

Na wsi pies gdzieś zaszczekał,
A wielka lipa stojąc w promieniach księżycyca
Co tyle widziała... teraz się zachwyca
Pięknem letniego wieczoru.

I z cicha rzekła, do obok stojącego klonu,
Czy pan też zachwycony pięknem wieczoru?
Jak ja, choć tyle widziałam, jestem zachwycona?
I do klonu wyciąga swoje szerokie ramiona.

Klon szerokimi zaszeleścił liśćmi,
Odetchnął mocno, głęboko – i odrzekł zdumiony
Widzę kochana sąsiadko to wszystko!
Za to piękno – niech Bóg będzie pochwalony.

Ranek na wsi

Zachodzi księżyc za lasek,
Jeszcze się poderwał – raz i drugi
Wierzchołków drzew się złapał
Odpychany dnia mocą.

Westchnął, że musi odejść
Przemęczony nocą, z zazdrością,
Że w górze jeszcze gdzieś
Małe gwiazdeczki migocą.

Słowik zachrypnięty od śpiewania
Struny zwija do odpoczynku i przesmarowania.
Jabłoń mniej imponująca stoi i czeka...
Pies ujada, widząc co raz idącego człowieka.

Dla odmiany – krowa zaryczy czując zielone,
Które gospodarz ukosił raniutko po rosie –
Otarł pot z czoła i pomyślał chwilę,
Jakby odmawiał poranną modlitwę.

Spojrzał dookoła ciesząc się ptasim
Budzącym się gwarem, stał zamyślony
Ile w tym wszystkim uroku –
Chwała Bogu Ojcu, że jest przy boku.

Rolnik sobie jestem

Rolnik sobie jestem
Z wioseczki Zosina.
W pół do piątej wstaję
Dzimek rozpoczynam.

Najpierw doję krowy
Spiesznie – lecz dokładnie

Jak bym coś spartaczył
To parytet spadnie.

A zamiast śniadania
Do geesu walę
Aby stać za paszą,
Nie jedząc nic wcale.

Na obiad podadzą
Wiadomość wesołą,
Paszy dziś nie będzie –
W magazynie goło.

Kiedy po południu
Do domu się zjawię,
Znów trzeba obrządzać,
W polu nieciekawie.

Kiedy po obrządku
Czas zjeść obiad wreszcie
Usypiam na progu –
Wierzcie mi, ach wierzcie!

A mieszcuchy na nas
W Lublinie gadają,
Nie chce im się robić!
Bo im tak podają.

Świni na Trybunie
Nie utrzymasz snadnie
Albo na Kurierze
Pogłowie upadnie.

My z głodu umrzemy,
Bo na czas nie zjemy.
Świnie wyzdychają,
Bo paszy nie mają.

W mieście na kołeczki
Założą ząbeczki,
Będą wzdychać do wsi,
Nie do Trybuneczki.

(rok 1979)

Wizja przyszłości

Na wsi bida jak cholera,
Każdy z chłopów strasznie gdera,
Wysprzedaje co ma w chacie,
By starczyło mu na gacie.
Jak nie starczy nam i na to,
To będziemy całą kupą
Chodzić po wsi z gołą...
Dużo się nam obiecuje –
Że nam wkrótce się polepszy
Jak nam się podatek... zwiększy.
W pierwszym rzędzie rolnik zginie
Nim demokracja nas wyminie
Resztę ludzi szlag też trafi
Bo nie będą jeść co mieli –
Nie pomogą i anieli.
Partia zgniła w własnym sosie
I znalazła się w kosmosie.
Solidarność! Ratuj Boże!...
Chciałaby móc, lecz mało może.
Każdy mądry, każdy ciołek
Ciągnie pod siedzenie stołek.
Kiedy się wszyscy rozsiedli
I po kraju rozejrzeli,
Kiedy rządzić zacząć chcieli –
Między sobą się pozarli
Bo jedzenia nic nie mieli.

(rok 1989/90)

Jest dróżeńka jest...

Jest dróżeńka jest
Przez calutką wieś,
Wydeptali ją rolnicy
Chodząc do GS.

Chodząc wzdychali
Czy kiedyś wreszcie
Kupi sobie nasz chłopina
Co tylko zechce.

Na półkach stoi
Towaru wiele,
Ale tego nie kupimy
Gdy ujrzysz cenę.

Gdy spojrzysz na cenę
To mózg w poprzek staje,
A naszym ekonomistom
Tak się wydaje...

Że nasz chłopina
Ma forsy wiele,
Wykleja w chałupie ściany
Dywan wyściele.

Wiosną jest pięknie
Ptaszęta śpiewają,
Pączki pękać zaczynają
A chłopą zwijają.

A jak chłopą zwiną
Opuszczą go siły,
Padnie biedny nasz chłopina
W Polsce swej milej.

Jest dróżeńka jest
Przez calutką wieś
Chłopa zwinąć nie możecie
Nie będzie co jeść.

(rok 1989)

Wesoło

Rolnikom się strasznie
Wesoło zrobiło!
Włosy posiwiały
A w kieszeni goło.

Bo za swoją pracę
Za godzin tam ileś
Zamiast dobrej płacy
Nie możesz na próg wyleźć.

Wszyscy go żałują
Że podatek duży
Lecz leją go w tyłek
Aż się z portek kurzy.

I jeszcze mu przy tym
Pragną wytłumaczyć
Nie masz chłopie racji
Nic na tym nie tracisz!

A w rządzie tak wszyscy
Nad nim dyskutują
Lecz – z lewej go znowu
Wszyscy w tyłek kłują.

A nasz biedny rolnik
Sam sobie nie wierzy

Czy stoi na nogach
Czy już całkiem leży.

Postój jeszcze troszkę
My cię podeprzemy
Aż wszystkie wnętrzości
Z ciebie wyciągniemy.

Możesz potem upaść
I zamrużyć oczy
A my się weźmiemy
Z drugiego krew toczyć.

Posłuchajcie ludzie!

Posłuchajcie ludzie
Mojej opowieści
Co się w kraju dzieje
W głowie się nie mieści.

Ceny idą w górę
O tym się nie gada
Ludzie strasznie psioczą
I parytet spada.

Jak tak dalej pójdzie
Postęp będzie szybki
To nam chłopom na wsi
Nie starczy na slipki.

(rok 1994)

Fraszki

Życie

Życie nam figla spletało
Miało potanieć –
Lecz podrożało!

Kombinator

Miał w swoim portfelu
Osiem legitymacji
Żeby mu pomagały
W różnej kombinacji.

Mądry

Miał łeb duży
Co z tego?
Jak mu się –
Z niego kurzy.

Ważny

Miał duże uszy
Dużo w żłobie siana,
Wszyscy przed nim padali
Lecz głowa kapuściana.

Działacz

Rządził od początku
Dobrze mu się działo,
Sprawiedliwość go dosięgła
Dziadem się zostało.

Działacz partyjny

We łbie ma zielono
W brzuchu kolorowo
Czerwony jest z wierzchu
A w życiu różowo.

Sknera

Drugim nie pomógł
Sobie też żałował
Dużo miał wszystkiego!
Lecz wykorkował.

Chytry

Zgarniał dla siebie
Innych podkopywał
Napęczniał z chytrłości
Lecz umarł
Bo ręce pozrywał.

Radni

Radzili – siedzieli
Aż...?

Katolik

Chodzi do kościoła
Nie szczędzi się modłom
Żeby sąsiadowi
Gorzej się powiodło.

Mówca

Słyszać go z daleka
Jak szczeka.

Dumna

Maryśka tak dumą się
Swoją przejmowała, aż zgrubiała.

Przewodniczący

Był w geesie
Przewodniczącym rady
Garnął wszystko dla siebie
Innych wysłał na dziady.

Bogaty

Bogaty ma wszystkiego dosyć
I z innych szydzi
A że ma pusto we łbie
To tego nie widzi.

Św. Żona

Chodzi do kościoła
Pada na kolana
Kołki mężowi ciosa na głowie
Od samego rana.

O dopłatach

O dopłatach się gada
Aż im puchną gęby
A że wszystko podrożało
Zacisnęli gęby.

Synuś!

Mama się chwaliła
Że Jurek będzie księdzem
Teraz biega z drabiną
I zarabia pędzlem.

Ważny

W szkole udawał zucha
Ale w głowie pucha!

Żona

Cały dom na głowie
Dzieci trzyma krótko
A mężuś kochany
Biega za wódką.

Zuch

Uczył się w szkole
Uczył się wieczorem

Pan Bóg mu dopomógł
Został profesorem.

O sobie

Drwią z niego sąsiedzi
Że idzie poeta
On zadowolony!
Lecz cóż? Głowa nie ta.

Nauczyciel

Gdy studiował w mieście
To strasznie się „puszył”
A teraz za karę
Cudze dzieci uczy!

(rok 1994)

Ziemio ty moja...

Ziemio ty moja ojczysta
Ziemio ty moja kochana,
Krwia nasiąkłaś przez lata
Łzami zostałaś zalana.

Kto Cię pokochał serdecznie –
Jak nie my! Co ją orzemy.
Krwii plamy widzimy czerwone
I krople łez przezroczyste.

Bo chłop polski jak ziemia
Krwia i łzami się wspiera!
Pracuje byśmy chleb mieli
Na ustach Bóg i Ojczyzna i spokojnie będzie umierał.

Bo taka jest chłopska natura,
Którego nikt nie obłoży kwiatami.

On ma Boga w sercu i Jego Matkę!
Nie straszna mu żadna wichura.

Z naręczem kwiatów tam pójdzie,
Złoży pod Ich stopami,
Poprosi Boga i Matkę Jego
Zmiłuj się zmiłuj nad nami!

A Bóg popatrzy na ręce...
Usiądź u boku naszego,
Odpocznij sobie tu chwilę
W nagrodę po ziemskiej udręce.

(rok 2004)

Namiestnik Boski

Janowi Pawłowi II

Przez góry, łąki, miasta i wioski
Idzie z nauką Namiestnik Boski.
Wiare krwią znaczy, przechodzi mękę,
Lecz z Matką Boską idzie pod rękę.
I tak jak Chrystus przebaczył łotrom,
On jakby czas ten odnowił.
Idzie w narody! Podnosi ręce.
I Boga prosi by ludziom pomógł
W ziemskiej udręce.
Naucza ludy – by zrozumieli,
Że Bóg w ich serca może się wcielić.
Że moc swą i siłę ma dla każdego,
Jeśli się tylko zbliżysz do Niego.
Znikną twe smutki i wszystkie troski,
Jeśli zrozumiesz co mówi Namiestnik Boski.
Trudno jest czasem zrozumieć Jego –
Odważ się bracie! I zbliż do Niego!
Sam Bóg ci powie: z czego wynika
Jak masz zrozumieć głos Namiestnika.

Babciu i Dziadku

My Babcię i Dziadzia
To bardzo kochamy
Dla Babci i Dziadzia
Dwa serduszka mamy.

Babcia nas przytuli
Pogłaszcze po głowie
A Dziadzio nas uśpi
I bajeczkę powie.

Babcia ugotuje obfity obiadek
W tym czasie na dworze
Biegiem gna za nami
Zasapany Dziadek.

Babcia nas zachęci
Że dobry obiadek
Pobrudzone buzie
Obetrze nam Dziadek.

Za to wszystko dobro
Że tak o nas dbają
Niech w ich dni świąteczne
I od nas coś mają.

Babciom i Dziadkom
Żeby sto lat żyli
I tak jak dotychczas
Wnukom swym służyli!

Janowi Pawłowi II

Odszedłeś na zawsze od nas Ojcie drogi,
Lecz wierzymy żeś przekroczył

Niebieskie progi.
Maryi oddałeś się Ojczyźnie całej,
Aby łaski Ducha Świętego
Na Ciebie spływały.
Poleciłeś jej świat cały i Siebie,
A teraz odbierasz nagrodę –
Od Chrystusa w niebie.
Uproś nam aby całym światem
Człowiek człowiekowi zawsze –
Był kochanym bratem.
Niech w sercach wszystkich trwa Twoja nauka
Żeby nikt z naszych braci
Innej nauki nie szukał.

(rok 2005)

Blizna

Blizna na bliźnie,
I na bliźnie blizna
To jest właśnie kochana –
Kochana moja Ojczyzna.

Człowiecze! Który dzierzysz władzę
I jesteś Polakiem i kochasz swoją Ojczyznę
Nie pozwól aby na te blizny
Dodać jeszcze jedną, przez ciebie
Dodaną ohydną bliznę.

Ziemio Lubelska

Ziemio ty moja Lubelska
Przez rządy zapomniana!
Swego piękna nie stracisz,
Choć na własny los jesteś zdana.

Ileż piękna jest w Tobie!
Od Wisły aż po rzekę Bug
Jeśli nie wierzysz, przyjedź i zobacz
Co ofiarował nam Pan Bóg.

Od nadwiślańskich sadów
Po piękne widoki Roztocza,
Jesteś Ziemio Lubelska
Tak piękna, śliczna, urocza!

Choć na lubelskiej ziemi
Nie brak też znaków krwi...
To miejsce walk i kaźni
W naszych sercach głęboko tkwi.

To wsie tętniące pracą
I ziemia przesiąknięta potem,
Miasta borykające się z trudnościami –
Praca – jest dla nas złotem!

Lubelska Ziemio kochana!
Życie nie płynie nam gładko,
Lecz my cię kochamy serdecznie
Bo jesteś dla wszystkich Matką.

(rok 2006)

Do żłóbeczka do Jezuska

Do żłóbeczka do Jezuska
Przyszła zwierząt cała trzódka.
Przyleciały również ptaszki
By rozpocząć swe igraszki.

Najpierw kaczką pstrą
Ze skrzyptkami szła

Grała, we wszystkie strony
Się kołysała, kwa, kwa, kwa.

Potem kurka złotopióra
Przybiegła prosto z podwórka
Przyniosła jajka w koszyku
Zjedz se zdrowo Jezusku.

A kogucik lilipucik
Gnał dużego, ten mu uciekł.
Gąski białe pełną teczkę
Piórek niosą na poduszczyk.

Za gąskami przyszła owca
Dwa zajączki spod jałowca
Szary wróbel i wróblowa
I stara poważna sowa.

Owca wkoło żłóbka drepcze
Na nogach już ledwo stoi
Worek białej wełny trzyma
Jezusowi na pierzyneczke.

Nawet niedźwiedź się przyczłapał
Przyniósł miskę miodu w łapach.
Dobry miodek, słodzusieńki
Spróbujże go mój maleńki.

Przyszedł także i wilczysko
Z tego lasu co był blisko
Przyniósł choinkę zieloną
Całą śniegiem przyprószoną.

Wszystkie zwierzątka i ptaszki
Rozpoczęły swe igraszki.
A Jezusek rączką małą
Błogosławi trzódke całą.

Przyszły także dzieci
Ze szkoły z Matczyna
Kaźde w swoich rączkach
Coś dla Jezuska trzyma.

Uklękną cichutko
Złożą w żłóbku dary
Jezus rączką błogosławi
Gromadkę malutką.

Wynalazek

No i niby dlaczego się państwo obywatele śmiejecie? – Jestem człowiek sercowy, inteligentny i demokratą jak się należy! A więc proszę o szacunek i spokój, względem tego co państwu chcę przedstawić. Wynalazek! Jaki! – zaraz państwu opowiem: – „Radiokataryna” – A co? To nie w kij dmuchał! Szanowni państwo, obywatele. Bo kogo dziś stać na radyjko, jak na bimber ledwo starcza. Tyle się mówi o radiofiksacji, kinofiksacji, a tylko się gada! – To ja zmajstrowałem taką radiokatarynę i chodzę robiąc ludziom fajną muzykę! To jeden obywatel mnie pyta – a ta kataryna gra? – Co nima grać, jak korbą pokręć to gra jak cholera! – to on mi mówi: – Ale ta kataryna skrzypi! – Co nima skrzypić, a dał pan choć złotówkę za moją muzykę? – koncert tyż skrzypi, jak ludzie nie mają dla niego wyrozumienia jak się należy. Przymknął gębę i poszedł. Chodzę i zarabiam na życie! Kraść nie pójdę, bo jestem za szlachetny. Wziąłem sobie pomocnika do tej roboty, co we dwójkę to nie jeden! Dobry chłopak tylko trochę rozrabiaka. Raz przychodzi z gębą opuchniętą jak bania, więc go się pytam: Antoś! – bo tak mu na imię – co ci się stało, żeś tak spuchł na gębie? – A nie, to jeden chciał mnie uderzyć! – Jak to on cię chciał, a ty tak spuchłeś? – to on mi na to... – Jakby nie chciał, to by nie uderzył! Złość sie we mnie zebrała, myślałem że go zabiję i mówię – Chodź to pogadamy z tym chamem! I poszliśmy. Przychodzimy, chłop jak dąb, ale ja tyż nie ułomek, więc mówię: – Jak pan śmiał uderzyć mojego przyjaciela Antosia? – A on mówi – O tak! – i buch Antosia w gębę. – Myślałem, że go rozniosę,

więc mówię: – Spróbuj no pan jeszcze raz, to się policzymy! – A on buch go z drugiej strony. Więc mówię do Antosia – Chodź, nima co gadać z takim chamem, i poszliśmy. Drugi raz przychodzi spity jak bela, więc go się pytam: – Antoś! Czy to twoja jedyna pocieszycielka? – a on mi na to – nie! Mam w palcie drugą. Ale ja się tu z państwem zagadałem, a grosz ucieka! Żegnam państwa szanownych, bo jak dorwie mnie wydział finansowy, to przyładuje mi podatek i jeszcze jaki dodatek – Wszystkiego najlepszego! Uszanowanie!

Podróż do Warszawy

Pojechałem se raz do Warszawy po funt cukru i scypte kawy. Bo moja żuna bezkurcyjo co letnisko kawę pijo. Wpadam na stacyju, już we dzwonki biju! A żem cudzego nie łasy, wine w te pyndy i do kasy. Zapłaciłem w uny kasie! – a żem drobnych szukał w pasie, bo kasjer kuńsko nyrka nimioł reśty dać z papirka. I wedla tego dzwónu śmigóm sobie do wagonu. A tu mnie capas w bramie: – marsz do trzecij chamie! – Ledwom wlaż do uny trzeci, już urzyndnik jakiś leci, toś chamie nie wiedział, że to damski przedział! – i guni z zagrody jak bydle ze szkody. Staunem se z drugi stróny, rozglundum się, wszyndzie ludno – zakopciułem bo mi nudno. – Żuć fajkę duchem! – Wszyscy mi nad uchem: – Wagon niepaluncy – krzyczy jakiś pan świncuncy. – A bodaj was diabli wzieni! – Chowum fajke do kieszyni, klne kobite, cukier, kawę, nie myślincy prysk pod ławe. Nie minyno pół pacirza, ktoś mnie szarpie kieby zwirza. Za uszy targo, w nozdrza scypie i latarku świci prosto w ślipie i krzyczy... dawaj bilet! – Wyciungnunem mu spod nadrza – mos że – mówie, a sum chuld z maszyny, as jskrzyły podemnu szyny! przysetem kawoł do dumu piechotu. A w chałupie... Jak baby kijem nie złupie!... i takie ij sprawiółem mydło że ij wszystko zbrzydło, ni cukru ni kawy już nie chce z Warszawy. I powizajta mi narody – że kij to jest najlepszy na babskie mody.

Przyrost w rodzinie

Było bardzo śmiesznie, gdy przyrost był w naszej rodzinie. Bo my z Olesiem urodziliśmy się tego samego dnia i o tej samej godzinie. Mama krzyknęła – dwie krople wody! – jednakowe miny! – Tato był w innym humorze: – Jakoś tam będzie! – jakoś poradzimy. Lecz od tej pory, los do Olesia się uśmiecha, a ja, jego młodszy brat, zawsze mam jakiegoś pecha. Na przykład: nogę miałem spuchniętą, goiła się źle – to Oleś drażnił buldoga, a buldog ugryzł mnie. Oleś zjadł dwanaście gruszek, a ja tylko dwie! – Olesia rozboleł brzuch, a rycynę wiano mnie. Wyrosłem, świat zmienił się – zakochałem się; zwała się Agnieszka. Oleś ożenił się, a teściowa u mnie mieszka. Spółdzielnia mieszkaniowa widząc cierpliwości moich plon, po roku dostałem przydział, a mieszkanie dostał on. I tak w życiu naszym może zdarzyć się, że Oleś umrze pewnego razu, a do trumny włożą mnie.

Łopowiadanie

Chciałem wum łopowiedzieć, jak moju babke ekologicznie wylicuno z rózy, na któru zapadli. Gymba zrobiła im sie cerwuno jak burok ćwikłowy, a do tego spuchła jak bania. Winc córka ij zacyna matke, a moju babke gnać do doktora. Babka nic, ino przywita mi Bieluniawu, łuna jest dobru znachorku, to mnie wylicy. Na nic sie zdały namowy na likorza, aż w końcu zińć, a nas tato, zaprzuk kunie do woza, założył wasunk na siedzynia jak po ksindza albo doktora i pojechał. Za pół godziny był nazat. Bieluniowo zleźli z woza i z powagu przyśli do chałupy. Jo i brat mój siedzieliśwa w kuchni i zyrkaliśmy do alkirza co tam bedzie sie łodbywało. Wita – alkirz to chałupa gdzie sie spało. Bieluniowo kazeli przyniść jasioczek bez poszewki, z cerwunu wyspu. Troche kunopi – tych nie było w dumu, mama znaleźli trocha pakuł – z nich Bieluniowo zrobili pińć kulecek. Staru mietle, talirzyk tylko bioły i dwie biały świeki i staru balijke, tylko drewnianu. Tata zwluk staru balijke, coś tam postukał bo sie rozlatywała i położył na podłodze. Zacyniśmy sie z bratem śmiać, chichotać, ale jak na nas sie rozdarli zamknymiśmy gymby i patrzymy. Na

balijce stanyli Bieluniowo. Mama podała im talerzyk, na którym postawili świecki i to postawili na poduszecce, a w koło świecek zacyni układać kulecki z pakuł. Zacyniśmy się chichotać z bratem, wine dostaliśmy miętły po grzbietach i wyguniono nas na dwór. Podyśliśmy do łokna, jo z jedny struny a brat z drugi i cichaczem bez śmiechu patrzemy dali. Babka stali jak w kościele. Bieluniowo ze stary miętły wyciungnyli kawołek patyka i zacyni machać nad babcyntu gymbu. Łodmawiała jakieś cary, cy co? Zapoląła kulecki, a dym dmuchali na gymbe babki. I w ty chwili dynko od balijki się zapadło, bo balijka była staro. Bieluniowo się przewrócili, jas sie balijka rozleciała do reśty. Świecki z talyrzykiem i kulkami upadły na gałganiarz – wita, to taki chodnik z dartych gałganów – i zacyni się polić. Tato sie śmiał i klun. Złapoł gorcek z wodu i lunął na łogiń, oblał Bieluniowu i poleciał po drugi. Mama nie wiedzieli co robić, babka sie dru, a my z bratym śmignyliśmy za chałupe, patrzemy i cekamy co bedzie dalij. Bieluniowo wyskocyli z chałupy i nie cekajunc na furmanke, zło popyndzili przez pola do dumu. Na drugi dzień, tato z mamu prawie na przymus wsadziły babke na furmanke i zawiezły do dochtora. Tyn przyznacuł jakus maść i zastryki. Babka w żadyn sposób niechcieli brać tych zastryków, tłumacunc że co un pomoze na gymbe, jak go sie daje w du... Po długich namowach zgodziła się. Przysła sunsiadka, bo una była siostru PCK i tyn zastryk dała. Na drugi dzień i trzeci, babce gymba ztychła, ale babka nimogła tego pojuńć. Musiała siedzić w chałupie w cieple, bo tak tyż kazał dochtór. Raz, kiedyś my byli wszystkie w chałupie, babka siedzieli przy piecu i kryncili glowu. Mama zapytali, cego tak kryńcis babka glowu? Babka zagadnyli: – Jak tyn świat sie zminił, ukłuju cłowieka w du... a pomoze na gymbe. To ci dopiro. – Diabli pomagaju, cy co!

Ostatnia majówka

Między dwoma łączącymi się wsiami, na uboczu drogi stał wysoki, dębowy krzyż. Ogrodzony drewnianym płotkiem, wydawał się być jakby potężniejszy. Czas robił swoje. Zmurszałe drzewo co raz opadało. Tylko sęki wystawały jakby nienaruszone, okazując swoją twardość. Zaśniedziały wizerunek Chrystusa mało różnił się od drzewa. Warunki pogodowe były tego przyczyną. Na dole do krzyża przybita półeczka, na której stał obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Przy obrazku i wkoło krzyża bukieciki przyniesione przez dziatwę. Stare lipy jakby chroniły krzyż od wiatrów i złej pogody. Obok ogrodzenia dwie ławki na wbitych w ziemię palikach.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Skrzyło się najpierw za lipami, a księżyc, jakby na to czekając, spychał je za horyzont. Nastawał wiosenny zmierzch. Księżyc obsypał się gwiazdami, a od wsi małymi grupkami szły dzieci na ostatnią sobotnią majówkę, niosąc w rączkach bukieciki kwiatów polnych aby złożyć je Matce Najświętszej. Za dziećmi podążały kobiety głośno gwarząc. Za wszystkimi podążał staruszek, podpierając się laską. Dzieciaki stanęły przy ogrodzeniu. Co starsze kobiety usiadły na ławeczkach a i staruszek przycupnął obok. Siwiutkie włosy i wąsy, zgarbiona postawa świadczyły o jakimś przeżyciu.

Ktoś zaintonował pieśń „Matko Najświętsza do serca Twe-go...”. Słowik jakby chciał pomóc w śpiewie ale wnet zrezygnował z tej pomocy. „Kyrie elejson” – „Ojcze z nieba Boże”, „Święta Maryjo – módl się za nami”. Po opadającej rosie echo roznosiło modlitwę po wsiach. „Królowo Pokoju – Królowo Polski”, „Baranku Boży” – coraz głośniej było słycać po wsiach w ten letni majowy wieczór. Ale czy wszyscy słyszeli? Potem „Pod Twoją Obronę” – Cisza... Słowik wykorzystał tę chwilę i zaczął swoje trele. Lecz pieśń „Zapada zmrok” rozlegała się głośnym echem oznajmiając, że kończy się ostatnia majówka. Dzieciaki złożyły kwiaty Matce Najświętszej. Kobiety szerokim przeżegnaniem i spojrzeniem na Maryję i Jezusa odchodziły do domów. Pod krzyżem pozostał staruszek.

Słowik znów zaczął przerwaną melodię, księżyc jakby przewidział zamiary starca, skrył się za chmurę. Tylko gwiazdy przy-

glądały się jego poczynaniom. Wstał powoli, podszedł do ogrodzenia, laskę oparł obok. Słowik nie odlatywał, lecz wciąż śpiewał swoją pieśń. Staruszek powstał chwilę, spojrzął na obraz Matki Boskiej i na wiszącego na krzyżu Jezusa.

Upadł na kolana i podniosłym głosem zaczął modlitwę: Jezu ukrzyżowany! – Gdzie jest młodzież!? – chłopcy pod sklepem!... – Gdzie dziewczęta!? – Szykują się na dyskotekę lub koncert rockowy w telewizji... Gdzie mężczyźni!?... Czyż nie mają czasu, aby tu przyjść na chwilę? Boimy się brać przykład od tych co przylegli do Chrystusa. Mamy liczyć na te roślinki, które przyniosły Ci kwiaty? Czy i one z czasem nie zwiędną? Skargę przerwała chwila milczenia. Czy mój pobyt w syberyjskich tajgach poszedł na marne? A obóz koncentracyjny w Niemczech? A moich dwóch synów poległych za Ojczyznę? Więzienie na Zamku Lubelskim, tortury i przesłuchania?

Jezu! Maryjo! Obecnie nie wiemy, czy oddychamy własnym powietrzem... – głos staruszka załamał się, ale mówił dalej. – Bez Boga dążymy donikąd! Boże uchron nas od najgorszego!

Podciągnął rękaw, na ręce ukazał się numer 236969. Nastąpiła cisza – nawet ptaszyna nie śmiała dalej śpiewać. Jezus jakby chciał wyciągnąć rękę do staruszka – lecz gwóźdź nie dał. Maryja patrzyła, patrzyła, patrzyła... staruszek podniósł głowę do góry i błagalnym głosem odezwał się ponownie: – Przepraszam Cię Jezu i Maryjo. Uniosłem się – narzekam. Ale pytać mogę? To my przybiliśmy Ciebie do krzyża i dalej Cię przybijamy, to my wycisnęliśmy łzy z Twoich oczu w Lubelskiej Katedrze. Przepraszam... zmiłuj się nad nami Jezu! A Ty Matko wstaw się za nami. Głos staruszka stawał się coraz cichszy. Z krzyża odpadł następny kawałek zmuszającego drzewa, tylko sęk wystawały, twarde – zdawać by się mogło niepokonane. A z twarzy Maryi na ziemię razem ze staruszką upadła przezroczyista łza. Staruszek słyszał jeszcze wiatr syberyjskiej tajgi, „Raus” esesmanów w obozie i przekleństwa ubeków na Zamku Lubelskim, a przede wszystkim ukochaną melodię „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”. Opadł ze zmuszającej społeczności ostatni sęk, w ostatnią sobotnią majówkę.

Boże ciało

Od rana zanosilo się na piękny dzień. Słońce przygrzewało, czuć było majową zieleń i święto nie byle jakie: Boże Ciało. Do malutkiej jodłowej świątyni zbudowanej w XVII wieku schodziła się młodzież żeńska i męska. Przynosili kwiaty i od samego rana przygotowywano cztery ołtarzyki po rogach ogrodzenia. Chłopcy przynosili brzoźki, wbijali w ziemię, przygotowywali ramy z desek, które młodzież żeńska opinała płótnem, przystrajała kwiatami, wieszala obrazy lub emblematy nawiązujące do tego święta. Każda ze wsi, a było w parafii cztery, starała się, aby jej ołtarzyk był najładniejszy. O godz. 9.00 odprowadzała się pierwsza Msza św. Ludzi było zazwyczaj niewiele, każdy szykował się na Sumę. Ołtarzyki były gotowe. Przed 12.00 godziną, ze wszystkich stron, pieszo, pojedynczo lub grupkami szli ludzie.

Z dała jechali furmankami, wozy w wasągach z siedzeniami z oparciem, oczywiście miękkie (sprężynowe). Świątynia zapełniała się ludźmi, było ich coraz więcej, nie mieścili się w malutkim kościółku. Ci, dla których zabrakło miejsca wewnątrz, musieli stać na dworze. Na szczęście stare lipy nie szczędziły cienia w ten upalny dzień. Zbliżała się godzina 12.00. Czekano tylko na najważniejszą osobę. Wreszcie zjawił się pan dziedzic z żoną oraz dalszą rodziną, która przyjeżdżała na ważniejsze święta. Dziedzic z żoną wszedł przez zakrystię, nad którą znajdował się chórek, a obok na ławkach przy samym ołtarzu zasiadła jego rodzina. Organizacje oznajmiono, że dziedzic już włoży na chórku, zaintonował pieśń, a dzwonek trzy razy dzwoniąc oznajmił, że zaczyna się Msza św. Eucharystia zaczynała się od pochylenia się księdza przed ołtarzem i odmówieniu ministrantury, co czynili klęczący po bokach ministranci. Z wielką powagą, przy śpiewie chóru uczestniczono w świętej ofierze. Pod koniec Mszy św. następowały przygotowania do procesji. Jan rozdawał świece kobietom i mężczyznom, którzy ustawiali się po obu stronach ławek. Ksiądz przygotowywał monstrancję z Najświętszym Sakramentem. Ministrant wychodził z krzyżem, młodzież wynosiła chorągwie i sztandary, kobiety i młode panienki feretrony. Panienki, które niosły feretrony, ubrane były w krakowski strój, natomiast kobiety musiały być w jednakowych sukienkach, czy

innym jednakowym stroju. Do każdego sztandaru stawały po cztery panienki w krakowskich strojach, które trzymały szarfy. Dziewczynki sypały kwiatki przed Najświętszym Sakramentem. Ministranci dzwonili dzwoneczkami, a jeden z nich okadzał Monstrancję idąc tyłem, potykając się coraz. Baldachim niosło czterech mężczyzn w sukmanach (fijarówkach) haftowanych w rozmaite wzory koloru czerwonego z niebieskimi wstawkami. Na brązowym tle sukna wyglądało to imponująco. Księżdz prowadził dwóch mężczyzn w takich samych strojach. Ten kolorowy korowód wyglądał jak namalowany. Na starych lipach pokrakiwały wrony oraz kawki. Pieśń „Twoja cześć chwała” lub „Bądźże pozdrowiona Hostio Żywa” roznosiły się echem w piękny majowy dzień. Bijące dzwony przerywały śpiew, kiedy modlono się przy ołtarzykach. Za baldachimem szedł z wielką powagą dziedzic z małżonką oraz rodziną, tym samym jakby okazywał wyższość nad innymi. Nie dotyczyło to jego modlitwy i śpiewu. I tak ta piękna kolorowa procesja zniknęła wewnątrz kościółka. Sztandary, feretry, chorągwie ustawiały się po bokach, aby baldachim z Najświętszym Sakramentem przeszedł do ołtarza. Jeszcze pieśń „Ciebie Boga wysławiamy”, błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem i pieśń „Boże coś Polskę” kończyły uroczystość Bożego Ciała.

W folwarku

Widniało... Różnokolorowe zorze zwiastowały rychłe ukazanie się słońca. Pogoda była piękna. W górze ciemnoniebieskie niebo, a w powietrzu czuć było ciepło sierpniowego poranka. Na gumnie (dużym folwarcznym podwórku) dójki wracały z udoju krów, zmęczone udawały się do czworaków, aby przed następną pracą ugotować śniadanie, które najczęściej składało się z chudego barszczu i kartofli. Pojawił się fornał woźnica. Podjechał pod konwie z mlekiem. Wkładał je powolnie z mozołem na wóz, aby udać się z mlekiem do Lublina. Pojawili się inni fornale, a wraz z nimi karbowy (pomocnik rządcy) z krzykiem, aby szybko zaprzęgli konie do pługów. Wygrażał przy tym laską. Zaprzęgano po trzy konie i cała karawana wyruszała w pole pokrzykując

„wio!”, „chajta!”, „wišta!”. Te lub inne niecenzuralne słowa przeplatały się ze słownictwem karbowego. Nieco spóźniony zjawił się rządcą. Aby nie zwracano uwagi na jego spóźnienie wyklinał najpierw fornali, potem karbowego, że to niby źle i późno zorganizował pracę. Rządcą i karbowy rozumieli się dobrze, ale dla oka, wyższy funkcją rugał niższego. Zapalił papierosa i szybkim krokiem powędrował w stronę zbierających się kobiet i dziewcząt, które stały z graczami do pielenia buraków. Tu mu było weselej, te zanuciły piosenkę, a od czasu do czasu mógł którąś podskubnąć, a ta miała większy szacunek u rządcy z wiadomych względów. Długim szeregiem niezbyt szybko wędrowano w pole. Karbowy wykrzykiwał na fornali, którzy zaprzęgli konie do wyciągania parówki pod sterty, aby zacząć młockę. Sterty zawsze ustawiano dwie obok siebie, aby nie przestawiać parówki, a podawać najpierw z jednej, a potem z drugiej strony. Zjawił się na gumnie i dziedzic z dużym rasowym psem. Ubrany w szarą bluzę, spodnie bryczesy, buty sztywniaki a na głowie szary kapelusz z piórkiem. Rozejrzał się wokoło czy zaplanowane na dziś prace idą po jego myśli. Konie z parówką ruszyły do pobliskich stert ze zbożem. Zaczęło się ustawianie, aby przed przerwą śniadaniową parówka była gotowa do gwizdnięcia, czyli rozpoczęcia młocki. Fornale odprowadzali konie do wozów, parówkowy szykował parówkę do rozruchu. W tym czasie pastuch wypędzał bydło na pastwisko, a mały kundelek przeraźliwym szczekaniem zaganiał je do kupy. Pastuch udawał, że pilnuje porządku i krzyczał na cały głos – „gdzieś tam wlaźła ty...” i niecenzuralne słowa sypały się jak z worka. Kiedy krowy weszły na pastwisko, mógł sobie poleżeć, uważając, aby nie dopadł go karbowy lub rządcą. Wtem: świst, gwizd, parówka ruszyła, był to również znak, że przerwa śniadaniowa się zakończyła. Jedni zdążyli zjeść śniadanie, drudzy nie, i po paru minutach ruszyła praca. Fornale brali wymłócone ziarno spod młocarni, układali na furmankach i przewozili do spichlerzy, które stały przy drodze obok gumna. Karbowy uwijał się jak w ukropie pilnując tych przy parówce i tych fornali przewożących zboże do spichlerzy. Niejednemu z nich usypywało się zboże do kieszeni, butów a nawet nogawek u spodni. Kiedy karbowy nie dojrzał, dzieciaki zwabione kiwnięciem jak pszczoły z ula wybiegały z czworaków z woreczkami, koszyczkami, garn-

kami. Dzieciaki czym prędzej zносиły to usypane zboże do domów. Dosypywano je do worków, które otrzymywali za ordynarię, a te służyły w domach jako krzesła czy ławy.

Nad rzeczką, na góreczce w kuźni sypały się iskry. To kowal z pomocnikiem klepali lemiesz do pługów, kuli konie przywiązując je do stojącego obok drzewa i reperowali zepsuty sprzęt, którego nie brakowało. Fornale mimo pilnowania przez karbowego i rządcę o niego nie dbali.

Z pola od buraków wracał rządcą, który po rozdzieleniu pracy kobietom i dziewczętom, spieszył aby pomagać karbowemu w pilnowaniu młócających i wożących zboże. Dziedzic zaglądając wszędzie, kazał wreszcie wyprowadzić konia, osiodłać go, aby wyjechać w objazd swoich posiadłości ze szczególnym uwzględnieniem orzących fornali. Zawsze najpóźniej do pracy przychodził pisarz, jego biuro znajdowało się na poddaszu dworu. Tam czekała na niego dziedziczka. Nie miała się czym zajmować, więc z nudów romansowała z pisarzem.

W kuchni kucharki przygotowywały posiłki, a kulawy lokaj odpowiedzialny był za ich podawanie do stołu.

Na gumnie zaś pojawiał się co dzień jeden z fornali, barczysty i silny, wyprowadzający z obory na spacer buhaja, z kółkiem w nozdrzach i przypiętym do niego drażkiem. I tak krążyli wkoło gumna dwie-trzy godziny. Służył nie tylko do rozplodu, używano go do wyciągania wozów z błota, jeśli konie nie mogły sobie z tym poradzić.

Fornale orzący, wykrzykując na konie, powoli noga za nogą szli za pługami tam i z powrotem przystając na odpoczynek i papierosa skręconego z bibułki lub gazety. Uważano, żeby ich nie dojrzał karbowy lub rządcą. Kiedy zobaczyli dziedzica na koniu, wówczas praca ruszyła szybciej, ale nie na długo.

I znów gwizd i świst. Południe, przerwa obiadowa. Ci od pługa szybko odpinali konie na popas, aby jak najdłużej odpocząć. Kobiety i dziewczęta pozostawały w polu aby odpocząć, a te, które szły na obiad, za chwilę musiały wracać z powrotem pokonując kawał drogi.

Dziedzic również wracał na obiad ze swojego objazdu, zsiadał z konia i oddawał go fernalowi stajennemu. Sam zajrzał do spichlerzy, popatrzył wokoło. Kiedy zaczął iść do dworu na obiad,

jak spod ziemi zjawił się Żyd. Mosiek mu było. Był jednym z tych, co rzekomo pomagali dziedzicowi udzielając mu pożyczek. Przychodził tylko po procent, który niejednokrotnie przewyższał kapitał. On najczęściej kontrolował majątek dziedzica i w odpowiednim momencie zjawił się we dworze. Pani dziedziczce kłaniał się sto razy, zanim dotarł do dziedzica. Chodziła zadowolona po parku z wachlarzem, czekając niby na męża, aby zasiaść do obiadu. Po obiedzie znów zaczynały się te same czynności. Po posiłku dziedzic wychodził nad stawy, aby odpocząć i ustrzelić kaczkę. Dziedziczka szła wypoczywać do łoża, a czuwał nad nią pisarz.

Kucharki z lokajem, jeśli zostało coś lepszego z obiadu, wynosiły to czym prędzej do domów.

I tak do wieczora. Kiedy zaczynał się zmrok, gwizd parówki oznajmiał koniec pracy. Tu wszyscy mimo zmęczenia jak najszybciej wracali do czworaków i te natychmiast napełniały się gwarem. Umorusane dzieciaki również wracały do domów. Tylko pisarz, rządcą i karbowy kroczyli do swoich domów osobno postawionych i z lepszymi wygodami. Gdzieniedzie zaszczeakał pies, a do łączącej się z majątkiem wsi z pola wracali chłopci. Tylko Żyd pilnował dziedzica i długo w zameczku świeciło się światło w kancelarii. Żyd pertraktował jeszcze z dziedzicem obliczając swoje należności. Aż wreszcie i tu zgasło światło. W kuźni już dawno wygasł ogień. Dójki powróciły z wieczornego udoju. Na niebie ukazał się księżyc obsypany dookoła gwiazdami, a cisza jaka zapanowała oznajmiła, że czas ten jest błogi i najsprawiedliwszy.

Tylko po gumnie i w okolicy, gdzie młócono zboże, przechadzał się tęgi, barczysty nocny stróż. On też myślał, gdzie przycupnąć i się przespać, żeby go nie złapano na spaniu. Mógł to uczynić rządcą lub karbowy.

Tak kończył się sierpniowy dzień na folwarku.



SEKRETARIAT STANU

SEKCJA PIERWSZA - SPRAWY OGÓLNE

Watykan, 14 września 2000 r.

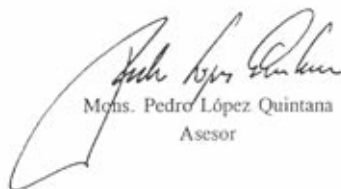
N.474.000

Szanowny Panie,

Jego Świątobliwość Jan Paweł II dziękuje za życzenia i dowody pamięci przesłane z okazji osiemdziesiątej rocznicy urodzin i dwudziestej drugiej Pontyfikatu, załączony od Zespołu Teatralnego z parafii Matczyn dar, a zwłaszcza za ofiarowaną w Jego intencjach modlitwę.

Ojciec Święty wdzięczny za tę szczerą życzliwość, jakiej doświadcza od swoich Rodaków nieprzerwanie od samego początku Pontyfikatu, prosi Boga o potrzebne łaski dla Pana i młodych Aktorów. Na owocne przeżywanie czasu Wielkiego Jubileuszu Roku 2000 przesyła swe błogosławieństwo.

Z wyrazami szacunku



Mons. Pedro López Quintana
Asesor

Szanowny Pan
Tadeusz SIENKO
c/o Parafia w Matczynie
24-200 Bełżyce
POLONIA

Z OKAZJI 50-LECIA
MOJEJ TWÓRCZEJ PRACY
JAKO ANIMATORA KULTURY
Z DOROSŁYMI, MŁODZIEŻĄ I DZIEĆMI

ZAPRASZAM

NA MSZĘ ŚWIĘTĄ DZIĘKCZYNNĄ
ZA WSZYSTKICH, KTÓRZY SWOJĄ PRACĄ
CHRONILI I UPOWSZECHNIALI
KULTURĘ POLSKĄ
A SZCZEGÓLNIIE
KULTURĘ SAKRALNĄ



MSZA ŚWIĘTA ODBĘDZIE SIĘ
20 PAŹDZIERNIKA 2002 ROKU O GODZ. 11.00
W KOŚCIELE PARAFIALNYM W MATCZYNIIE

Tadeusz Sienko



OGÓLNOPOLSKI KONKURS
BLIŻEJ TEATRU
– **TEATR 2002**

Pan
Tadeusz Sienko

PODZIĘKOWANIE
ZA 50-LETNIĄ WIERNĄ SŁUŻBĘ
PANI MELPOMENIE

WOJEWÓDZKI DOM KULTURY
W LUBLINIE

*Miegalska
Wistulski
W. Krakowski*

TOWARZYSTWO KULTURY TEATRALNEJ
W LUBLINIE

*Stępień
Zaboj
Kryszyna Cierniewska*

LUBLIN, 24 STYCZNIA 2003 ROKU



„Chata za wsią” – przedstawienie z 1966 roku, na zdjęciu u góry – Tadeusz Sienko.
U dołu od lewej: Krystyna Żydek, Anna Czobot, Tadeusz Sienko, Danuta Bednarczyk,
Stanisław Niezbecki, Tadeusz Niezbecki, Henryk Walczak, Wanda Poleszak
oraz Zofia Bielak – klęczą i w głębi Sabina Ryba i Andrzej Pietrzak



Przedstawienie „Ziemia” według „Placówki” z 1973 roku. Jan Bednarczyk i Tadeusz Matyjasik (siedzi przy stole).



Pierwsza realizacja „Misterium Męki Pańskiej” z końca lat siedemdziesiątych. Od lewej: Tadeusz Sienko (w roli Judasza), Zbigniew Koziński, Jan Pietrzak i Janusz Besztak.



„Jasełka” z 1980 roku zawierały sceny nawiązujące do powstania warszawskiego. Urszula Sienko, córka Autora książki.



„Jasełka” z 1980 r., po lewej obecny zięć Autora, Adam Łuczkowski.



„Jasełka” wystawiane w 1983 roku. Scena obrazująca symboliczne „rozdziobywanie” ojczyzny przez „kruki i wrony”. Od lewej: u góry – Anna Pietraś, Urszula Sieńko; u dołu – Mirosława Pietrzak, Justyna Sobczak. Widzowie ten fragment „Jasełek” przeżywali szczególnie emocjonalnie.



„Misterium Męki Pańskiej” zrealizowane w połowie lat osiemdziesiątych.
U góry: Ireneusz Sieńko, który przejął po ojcu rolę Judasza i Urszula Żydek.
U dołu – scena zbiorowa z tego przedstawienia.



„Jasełka” na scenie w Nałęczowie, podczas wojewódzkiego przeglądu widowisk obrzędowych w 1986 roku.



Kabaret „Decis”, rok 1991/1992. Od lewej: Witold Matyjasik, Justyna Sobczak, Zbigniew Walczak, Urszula Sieńko i reżyser – Tadeusz Sieńko.



W Nałęczowie, szczególne podziękowania dla twórcy przedstawienia Tadeusza Sieńki od Krystyny Chruszczewskiej z Wojewódzkiego Domu Kultury.



Ks. dziekan Czesław Przech przed patriotycznym nabożeństwem 3 maja 1998 roku wita pocztę sztandarową, tu w uścisku dłoni z Tadeuszem Sieńko.



Spektakl słowno-muzyczny w kościele w Matczynie w 2001 roku.



W 2001 roku zespół Tadeusza Sieńki przedstawił „Jasełka” dla dzieci chorych w Dziecięcym Szpitalu Klinicznym w Lublinie.



Tadeusz Sieńko z żoną Kazimierą podczas uroczystego Jubileuszu w 2002 roku 50. lecia działalności artystycznej, społecznej i obywatelskiej.



Mistrz z wychowankami podczas konkursu recytatorskiego poezji religijnej w Klementowicach w 2004 roku.



Grupa recytatorska po występie w Bełżycach w 2004 roku. Pierwsza z lewej – wnuczka Ola, a pomiędzy dziewczynkami wnuk Damian.



Wnuczka Ola



Wnuk Damian



Tadeusz Sieńko z recytatorami niestrudzenie uczestniczy w wielu konkursach na terenie województwa. Tu w Woli Osowińskiej, podczas Konkursu Recytatorskiego Poezji i Prozy Ludowej im. Waćława Tuwalskiego w 2006 roku. Z lewej strony – wnuk Damian oraz Aurelia i Marcin Źydkowie.

Spis treści

Wstęp – Krystyna Chruszczewska	5
Wspomnienia	9
Wiersze	71
Obrazki prozą	87
Dokumentacja fotograficzna	98